

Kraków, 1994



Jan Stefan Gawlik

Absolwent z roku akademickiego 1964/1965

CZY TYLKO CHEMIK? MOJE PRZYGODY Z CHEMIĄ

Moja przygoda z chemią zaczęła się jeszcze w szkole średniej, w latach 1953–1957. Było to Liceum Ogólnokształcące w Brzesku, o dobrych przedwojennych tradycjach z wysoko wykwalifikowaną kadrą. Część „belfrów” przeniosła się tu po wojnie z liceum krzemienieckiego. Nauczyciel chemii był młodszy, traktował swą pracę jako zwykły obowiązek. W porównaniu z innymi nauczycielami brak mu było żarliwości, czy też pasji, by zachęcić uczniów do nauki swego przedmiotu. Lekcje eksperymentalne należały do rzadkości bądź to z braku odczynników i sprzętu, bądź z braku czasu wykładowcy na ich przygotowanie. Uzupełnialiśmy to poza szkołą w gronie kilku kolegów, których rodzice mieli dostęp do laboratoriów chemicznych. Oni to dostarczyli nam kalichlorek, saletrę amonową czy inne materiały pirotechniczne. Myślę, że produkowaliśmy z nich to, co od wielu lat robili nasi poprzednicy. Na szczęście nie mieliśmy większych kłopotów. Eksplozje bombek rzucanych pod okna dyrektora szkoły lub belfra od łaciny doprowadzały jedynie do wielkich gróźb podczas apeli szkolnych. Nie wykryto jednak winnych, chociaż wychowawca klasy i nauczyciel od gimnastyki domyślali się, a może nawet wiedzieli, kto był sprawcą tych niecnych czynów. Później, gdy mieliśmy przystąpić do produkcji bawełny strzelniczej oraz nitrogliceryny, niefortunnie zakończyliśmy nasze eksperymenty. Każdy domyśla się, w jakich warunkach i gdzie mogły być ulokowane nasze laboratoria – łazienka, szopa, klatka po królikach. Adam Dumański – główny dostawca surowców poparzył się kwasem siarkowym i przez ponad miesiąc nie mógł wziąć pióra do ręki. Ja natomiast wypaliłem kilka dziur w nowej amerykańskiej marynarce (jaskrawy samodziół w kratę), którą tydzień wcześniej kupiła mi matka. Niewiele brakowało, aby ojciec wytłumaczył mi ręcznie, jak należy dbać o ubranie. Uznał w końcu, że jestem prawie dorosły (16 lat) i lepiej będzie, jak mi nie da na kino lub zakaże wychodzenia na wieczorne spotkania z kolegami. Wyszły również nasze źródła chemikalii, gdyż Adam nie tylko że stracił na jakiś czas zdolność pisania wypracowań, ale stracił również zaufanie rodziców. Nie wystarczyły już wyjaśnienia, że potrzebuje je dla szkolnej pracowni chemicznej.

Chemia budziła we mnie dużą ciekawość. Była dla mnie czymś, co pozwalało na nowe wrażenia, odkrywanie tego, o czym wcześniej nie miałem pojęcia. Nie był to przedmiot, który zamierzałem studiować. Interesowałem się literaturą, sztuką, teatrem. Zagrałem w kilku przedstawieniach wystawianych przez szkolne kółko teatralne, zyskując bardzo pochlebne opinie zarówno nauczycieli, jak i kolegów i ich rodziców. Wśród moich zainteresowań przeważały nauki humanistyczne. Zamiar podjęcia studiów che-

micznych na uniwersytecie pojawił się nagle i niespodziewanie. Do dziś nie wiem, jak to się stało. Może nie pamiętam? Wiem tylko tyle, że w czasie pobytu w szkole średniej nie przykładałem się do nauki, chociaż uzyskiwane oceny nie potwierdzały tego. Dużo czasu miałem na sport i inne zajęcia pozaszkolne. Naukę ograniczałem do wystuchiwania z dużym zainteresowaniem lekcji oraz domowego odrabiania zadań pisemnych. Bagatelizowałem przygotowania do egzaminu wstępnego na studia. Wszystko wydawało mi się proste i oczywiste. Traktowałem go jak kolejny niski płotek na bieżni, który wystarczy tylko przekroczyć od niechcenia. Wkrótce okazało się jednak, że i tu można się potknąć. Nie pamiętam powodów „przewrócenia płotka”, chociaż niektóre zdarzenia utkwiły mi do dziś w pamięci. Szczególnie egzamin z chemii. W komisji egzaminacyjnej zasiadali młodzi asystenci. Pytanie proste – amoniak, właściwości, charakter i w ogóle, co na ten temat wiem? Powiedziałem, co wiedziałem, a kiedy zamilkłem padły dodatkowe pytania. „Jak poznałby pan, że w pomieszczeniu jest amoniak?” Po zapachu – odpowiedziałem błyskawicznie, bez zastanowienia. „Dobrze, ale gdyby pan miał katar, co by pan zrobił?”. Również zdecydowanie i błyskawicznie odpowiedziałem – „kichałbym”. Rozbawiło to egzaminujących tak, że więcej pytań już mi nie zadawano. Podziękowano mi i oznajmiono, że wyniki całości egzaminu będą ogłoszone za kilka dni. Nie byłem pewien rezultatów. Oczekiwałem z niecierpliwością, aby się dowiedzieć, że mam rok wolnego czasu do następnej próby. Ten zimny prysznic obudził mnie i zmobilizował do solidnej nauki. Chciałem pokazać rodzicom, znajomym i kolegom, że stać mnie na to, aby być studentem właśnie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studentem chemii, która w opinii moich znajomych uchodziła za przedmiot trudny, wymagający dużo pracy, wyrzeczeń i poświęcenia. Wówczas stanął przede mną konkretny cel. Wiedziałem, że muszę go osiągnąć. Nie z powodu zamiłowania do chemii, lecz po to, by udowodnić sobie, bliskim i innym, że mogę bez problemu zdać ten egzamin i podjąć studia.

Roczna przerwa w pobieraniu nauki w szkole korzystnie wpłynęła na moją edukację. Rozpocząłem samodzielnie uzupełniać wiedzę. Powtórzyłem wówczas cały materiał szkoły średniej z matematyki, fizyki i chemii. Nawet poszerzyłem go nieco. Rodzice sugerowali, abym wziął korepetycje. Propozycji tej nie przyjąłem. Miałem świadomość, że spowoduje to dodatkowe ich wyrzeczenia związane z koniecznością finansowania wielu moich zainteresowań, jak: kurs pilotów szybowcowych, treningi lekkoatletyczne na WKS „Wawel”, kurs kosztorysowania i kreśleń technicznych w budownictwie, na który codziennie dojeżdżałem do odległego o ponad 50 km Krakowa, a zimą częste wyjazdy weekendowe z klubem narciarskim oraz dwutygodniowy obóz narciarski na hali Ornak.

Intensywna nauka oraz aktywne życie sportowe, zgodnie z zasadą „w zdrowym ciele zdrowy duch”, umożliwiły mi zdanie wszystkich egzaminów na kursach, uzyskanie licencji pilota szybowcowego III klasy, a przede wszystkim zdanie egzaminu wstępnego na chemię UJ z oceną pozwalającą na podjęcie studiów (przy ponad dwóch kandydatach na jedno miejsce). Wreszcie stałem się studentem chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego!

Głęboko utkwił mi w pamięci inauguracyjny wykład z chemii nieorganicznej. Przeżywałem go długo, czego potwierdzeniem jest to, że do dziś pamiętam wiele szczegółów. Miał on uroczysty charakter. Odbywał się w auli Collegium Chemicum i co najważniejsze, prowadził go sam prof. Wiktor Jakób znany ze swej pozycji naukowej nie tylko pośród profesjonalistów, ale także wśród beanów I roku. W oczekiwaniu na wejście profesora na salę trwaliśmy nieomal w zupełnej ciszy. Niektórzy, doświadczeni już w bojach, ponownie rozpoczynający I rok studiów, rozmawiali szeptem, wprowadzając młodszych w arkana życia studenckiego. Otwarły się drzwi obok katedry i na salę wszedł sprę-

zystym krokiem wysoki mężczyzna, w wieku około 30 lat, z kijem jak do bilardu w ręce. Spojrzał na salę, następnie na tablicę, sprawdził, czy poszczególne jej części są czyste, położył kredę i kij obok katedry, po czym zawrócił w kierunku drzwi. Pomyślałem wówczas – taki młody profesor?... W tym momencie drzwi otwały się i stanął w nich siwy, niski staruszek, o uśmiechniętej ojcowskiej twarzy i błyszczących niebieskich oczach. Skłonił się zebrany i przywitał. Wtedy zrozumiałem, był to właśnie prof. Jakób. Rozpoczął wykład. Na sali dał się słyszeć tylko jego niezbyt wyraźny, chociaż wystarczająco donośny i łagodny głos oraz może bzyczenie muchy. Wszyscy słuchali z dużym zainteresowaniem głębokich myśli na temat studiów, zdobywania wiedzy, szkoły życia, osiągnięć chemii i wielu jeszcze innych informacji i teorii Profesora, będących wynikiem jego wieloletnich doświadczeń oraz głębokiej wiedzy teoretycznej i praktyki. Na całe życie utkwiał mi w pamięci następujący fragment Jego wypowiedzi: „Zapamiętajcie, że jeżeli eksperymenty nie potwierdzą teorii, którą stworzyliście lub której kazano się wam nauczyć, nie jest to wina eksperymentu. Odrzućcie teorię! Stwórzcie nową zgodną z wynikami waszych doświadczeń. To wina teorii, a nie eksperymentów!” Wydaje mi się, że już wówczas zasada głoszona przez prof. Jakóba była mi bardzo bliska, była również moją drogą życiową. Tego samego dnia wieczorem w akademiku w gronie chemików I roku dzieliliśmy się pierwszymi wrażeniami ze spotkania w Collegium Chemicum. Poznając się wzajemnie, popisywaliśmy się elokwencją, intelektem oraz obyciem studenckim, chociaż pod każdym względem prezentowaliśmy poziom poniżej miernego. Takie refleksje lub oceny przychodzą dopiero po wielu latach doświadczeń życiowych, potknięć, nabitych guzów czy połamanych zębów.

Szybko wszedłem w wir zajęć i pracy studenta I roku chemii UJ. Pomimo iż na wykładach nikt nie sprawdzał obecności, to jednak sale były prawie zawsze pełne. Pamiętam wspaniałe wykłady prof. Jana Leśniaka z matematyki. Jego obrazowe tłumaczenie funkcji – jako przepisu postępowania, który...itd. Oczyma duszy widziałem go wówczas jako pocziwego staruszka-prestidigitatora, który na Rynku Kleparskim, uśmiechnięty, wyciąga z worka pojedyncze ziemniaki i wrzuca je do stojącej obok maszyny, aby na jej przeciwległym końcu ich wierne odbicia, pozbawione skórki, wpadały do drugiego worka. Barwne obrazy i porównania trudnych zasad matematyki, wymagających ścisłego rozumowania, znacznie ułatwiały ich zrozumienie. Było to szczególnie ważne przy znaczących różnicach przygotowania słuchaczy, jakie dały im poszczególne szkoły średnie.

Inaczej wyglądały ćwiczenia, które prowadził z moją grupą mgr Bolesław Szafirski. Podobnie jak maszyna prof. Leśniaka obrabiała ziemniaki lub inne elementy zbioru, to automat mgr. Szafirskiego obrabiał nasze umysły. Tu częściej piasek czy też nawet kamienie dostawały się w jego tryby. Stąd też częste zgrzyty i zacięcia. Były one przez prowadzącego precyzyjnie oddzielane i usuwane z maszyny, a gdy to się nie powiodło, również automatycznie usuwane były łącznie z obrabianym materiałem. Podobnie wyglądały ćwiczenia z dr. Andrzejem Lasotą, mimo ogromnych różnic w osobowości tych dwóch nauczycieli akademickich. Pierwszy z nich spokojny, powolny, dystyngowany, elegancko ubrany i czasami nawet uśmiechnięty. Drugi natomiast zawsze zagoniony, wpadał na zajęcia jak bomba, z rozwianymi włosami, w swetrze lub marynarce zapiętej czasami inaczej niż to zakładał krawiec. Jego buty oddawały często obraz niedokończonej budowy osiedla w Nowej Hucie, na którym mieszkał. W ocenie studentów obaj uchodzili za bardzo wymagających i cieszących się uznaniem asystentów. Nie żywili do nich większych pretensji nawet ci, którzy z powodu braku zaliczenia musieli przerwać studia.

Wykłady z fizyki prowadził prof. Henryk Niewodniczański zwany popularnie Papą. Już wówczas posiadał międzynarodową, wysoką pozycję fizyka jądrowego. Zajęcia odbywały się w Collegium Witkowskiego, gdzie wówczas mieścił się Instytut Fizyki ze swoimi salami wykładowymi i salami ćwiczeń. Pomimo iż wykłady Papy odbywały się w dużej sali amfiteatralnej – zwanej również aulą, to dla spóźnionych trudno było znaleźć wolne miejsce. Spowodowane było to tym, że odbywały się one wspólnie dla fizyków i chemików I roku. Uczestniczyło w nich znacznie ponad dwustu studentów. Zdarzało się, że siadali również na schodach, starając się ukryć swoje spóźnienie przed czujnym wzrokiem profesora. Akustyka sali zniekształcała dodatkowo niezbyt wyraźnie artykułowane wypowiedzi Papy. Powodowało to konieczność dużej koncentracji słuchaczy na zrozumieniu słów oraz uchwyceniu pełni treści wykładu. Prawie każdy wykład profesora był uzupełniony choćby fragmentem jakiegoś eksperymentu. Łączyło się to często z dodatkową rozrywką wywołującą naturalne wybuchy zdrowego śmiechu. Wiele takich chwil utkwiło mi mocno w pamięci. Najlepiej jednak pamiętam wykład, podczas którego Papa tłumaczył teorię krętu, uzupełniając ją pokazem. Laborant pomagający profesorowi w wykładzie wniósł na salę obrotowe krzesło na trzech nogach bez oparcia. Samo siedzenie miało kształt koła o niezbyt dużej średnicy. Mogło być ono wygodne jedynie dla chłopca o skromnej budowie ciała, lecz nie dla Papy. Wysoki, dobrze zbudowany, ważący około 120 kg profesor wyglądał na nim jak ogromny stożek utworzony z jodły oblepionej grubą warstwą śniegu, podparty niewielkim pniem. Jego korpus znacznie wychodził poza obszar powierzchni siedzenia. Utrzymanie równowagi nawet w pozycji stałej, gdy nogi siedzącego oderwane od podłogi opierały się na podnóżkach, wymagało wzmoczonej koncentracji siedzącego. Równowagę tę było znacznie trudniej utrzymać w przypadku wprowadzenia krzesła w ruch obrotowy. Chcąc dodatkowo ubarwić swój wykład, profesor użył do eksperymentu hantli o wadze odpowiedniej do własnej postury. Myślę, że każda z nich ważyła nie mniej niż cztery kilogramy.

Siedząc na krześle z hantlami w rękach profesor odpychając się nogą od podłogi oraz przy pomocy laboranta wprowadził krzesło w ruch obrotowy. Obserwowaliśmy jak w miarę oddalania dłoni z hantlami od korpusu, jego obrót stawał się wolniejszy i odwrotnie, jak zbliżał je do siebie – krzesło kręciło się szybciej. Eksperyment wyglądał bardzo efektownie, a teoria, którą opisywał, wpadała do naszych umysłów jak węgiel rzucony w palenisko kotła. W celu utrwalenia wyników eksperymentu w naszej pamięci Papa powtórnie usiadł na krzeselku i wprowadził je w ruch. Niefortunnie przesunął swój środek ciężkości znacznie poza oś obrotu. Spowodowało to, że siły fizyki przeniosły go na podłogę w pozycję horyzontalną. Krzesło potoczyło się w przeciwną stronę do leżącego. Reakcja sali była zgodna z przewidywaniami. Niedługo po tym Papa stwierdził, że nie będzie dla beanów pierwszego roku ponownie uczył się fizyki. W ten sposób zakończył nasze spotkania. Prawdą jest również to, że musiał wówczas wyjechać do Ośrodka Badań Jądrowych w Dubnej, gdzie kierował jakimś ważnym programem badawczym. Wykłady przejęła pani docent Danuta Kuniszówna. Nie były one już tak barwne jak te, które prowadził Papa.

Przez oba semestry I roku najwięcej czasu spędzaliśmy w laboratorium, wykonując ćwiczenia z chemii nieorganicznej. Dwanaście godzin tygodniowo to dość, aby poznać bliżej i polubić chemię. Już w pierwszym tygodniu ćwiczeń z analizy jakościowej zrozumiiałem, jakiej odpowiedzi oczekiwali ode mnie członkowie komisji egzaminacyjnej dla kandydatów na chemię, pytając, jak wykryłbym obecność amoniaku w pomieszczeniu. Białe dymy salmiaku obecne były nie tylko w salach laboratoryjnych, ale również snuły

się po wszystkich korytarzach parteru Collegium Chemicum. Wyciągi w laboratoriach nie pracowały wystarczająco dobrze, aby usunąć powstające tam opary całej gamy chemikaliów. Studenci natomiast w ogóle nie zwracali uwagi na unoszące się z próbek i zlewek pary kwasów, amoniaku czy innych, mniej lub bardziej szkodliwych, związków chemicznych. Stwarzały one specyficzny nastrój, aurę tajemniczości, podobnie jak niegdyś w laboratoriach alchemików. Tak jak narkotyk przyzwyczajały i przystosowywały nas do tego środowiska. W atmosferę tę wpleceni byli również ludzie – asystenci, szefowie poszczególnych zespołów, jak również laboranci. Każdy z nich miał swoje zalety i przywary. Każdemu byliśmy zdolni przypiąć łatkę czy też spreparować przynajmniej jedną anegdotę opartą na prawdziwych lub zmyślonych zdarzeniach. Zawodna pamięć nie pozwala mi określić, kiedy powstała historyjka o panu Władziu – laborancie, który przygotowywał nasze zadania i wiedział wszystko o analizie jakościowej, czego my mieliśmy się dopiero nauczyć. Czasami korzystał z pomocy studentów. Pewnego razu poprosił któregoś, aby uporządkował stół, na którym były rozłożone odczynniki. Sam poszedł zanieść jakieś dokumenty do dziekanatu. Gdy wrócił, na stole nie było odczynników, a stoiki i butelki uporządkowane stały na półkach. Aby mieć pełne rozeznanie w uporządkowanych półkach, pan Władzio poprosił studenta o wyjaśnienie, jak i co zrobić. Gdy ten wyjaśniając stwierdził, że w celu wygospodarowania dodatkowego miejsca na półce zsywał razem sól z dwu obok stojących stoików do jednego, pan Władzio chwycił się za głowę i zaczął nerwowo chodzić po pokoju krzycząc – „Panie student!, Panie student! Coś pan zrobił? Pomieszałeś kaczal z naclem, pomieszałeś kaczal z naclem”. Wieść o tym wydarzeniu rozeszła się błyskawicznie wśród znacznej grupy studentów. Już przed następnymi ćwiczeniami jeden przestrzegał drugiego – tylko nie pomieszaj kaczala z naclem.

W miarę upływu czasu poznawaliśmy coraz to nowe twarze. Poza asystentami prowadzącymi ćwiczenia oraz laborantami część kolegów uczęszczająca na wykłady poznawała stopniowo pozostałych członków kadry nauczającej. Inni zwlekali, aby poznać ich dopiero na egzaminie lub w czasie kolokwium zaliczeniowego. Często było to ich ostatnie spotkanie w relacji student I roku chemii – nauczyciel akademicki tego kierunku.

Laboratoria nadzorował i z tej racji często odwiedzał dr Edward Cholewa, dyskretnie kontrolując porządek i całokształt ich organizacji. Zwracał na siebie uwagę śnieżnobiałym zawsze świeżym chałatem, który jak gdyby przed momentem został wyprasowany. Z usposobienia był łagodny, pewny siebie, dobronuduszny i zawsze serdeczny wobec studentów. W drażliwych sytuacjach potrafił być w pełni opanowany. Wyprowadzenie go z równowagi było prawie niemożliwe. Z tego też powodu cieszył się powszechną sympatią studentów. Opiekunem studentów II roku była dr Józefa Bocheńska zwana Babcią. Niska, szczupła, ubrana zawsze w czarny lub ciemnoszary chałat. Pamiętam, jak Adaś Brzeziński został powiadomiony, że ma się do niej zgłosić. Wówczas nie wiedział jeszcze, gdzie jest jej gabinet. Razem z Konradem Drabkiem szedł pustym korytarzem, szukając jej wizytówki na kolejnych drzwiach. Przy szklanych drzwiach prowadzących na klatkę schodową dostrzegli stojące tam dwie kobiety w ciemnych chałatach. „Szkoda tak szukać, zapytajmy te sprzątaczkę” – powiedział Adaś. Podeszedł, grzecznie przeprosił i zapytał... „A, to pan. Właśnie na pana czekałam. Byłby czas, aby mnie Pan już znał. Widać, jak pan chodzi na wykłady, a egzaminy blisko!” Adaś czerwony z uszami koloru maliny, wołałby zapaść się pod podłogę, ale rad nie rad udał się z Babcią do jej gabinetu. Niedługo potem zarówno kolokwium, jak i egzamin u dr Bocheńskiej, Adaś zaliczył za pierwszym podejściem. Należał do pracowitych i dobrych studentów.

Laboratorium z chemii było dla wielu z nas najlepszym kontaktem z tą chemią, o której marzyły wybujałe młodzieńcze i nieco infantylne umysły. Zabawy pirotechniczne rozpoczęte jeszcze w szkole średniej przeszły na wyższy poziom. Korzystając z odczynników stojących na półkach w laboratorium, podejmowaliśmy próby syntezy małych ilości nieznanych nam wcześniej związków, jak acetylenek srebra lub miedzi, jodek azotu oraz nieco większe ilości bawełny strzelniczej do prób rakietowych. Byłem dumny, gdy zbudowany przeze mnie papierowy model trójstopniowej rakiety napędzanej bawełną strzelniczą, po odpaleniu i rozdzieleniu się w czasie lotu poszczególnych członów, osiągnął odległość około pięćdziesięciu metrów. Chociaż dzisiaj oceniam te zabawy jako dziecinadę, mało przystającą studentom Uniwersytetu Jagiellońskiego, to jednak w prezentowanych wspomnieniach nie mogę ich pominąć. Utkwiły głęboko w mojej pamięci i nawet gdy teraz oceniam je krytycznie, stanowią element oddający naszą mentalność, zainteresowania, osobowość i czasy pierwszych lat studiów. Charakterystycznym przykładem naszych zainteresowań i zachowań oraz traktowania tajemnic chemii w sposób paranaukowy było następujące zdarzenie:

Mieszkając w akademiku, będącym wspaniałą szkołą życia, a także źródłem licznych kontaktów, w tym również z kolegami z lat starszych, uczestniczyłem w wielu towarzyskich spotkaniach. Zazwyczaj były to dyskusje na temat chemii, literatury, filmu, rozmowy o asystentach, ćwiczeniach, dysputy polityczne czy społeczne, a ich najczęstszą okazją były imieniny, urodziny czy obalewanie zdanego lub nie egzaminu. Na jednym z takich spotkań w towarzystwie kilkunastu starszych kolegów, głównie II i III roku chemii, starałem się zwrócić na siebie uwagę, czymś błysnąć. Chociaż sam nie paliłem, o czym wiedzieli wszyscy, wyciągnąłem z kieszeni paczkę z papierosami, w której ostał się tylko jeden. Kto zapali? – zapytałem. Wszystkim wydało się to mocno podejrzane. Znali mnie już z wielu dowcipów, które spletałem, a i grymas na mojej twarzy pogłębiał ich obawy, że znowu coś knuję i próbuję kogoś zrobić. Któryś z kolegów wyciągnął papierosa z pudełka, pooglądał i przekazał dalej. Następni zrobili to samo i żaden niczego nie zauważył. Odkryj karty, bo i tak nikt nie zapali – powiedział Wiesiek Miciński. Byłem podniecony, gdyż i tak osiągnąłem sukces. Wzbudziłem zainteresowanie. W końcu wyjaśniłem, że w papierosie umieściłem troszkę acetylenku srebra. Nikt nie próbował sprawdzić, jaki będzie efekt. Kilku kolegów prosiło, abym im go dał, a każdy z nich oczyma duszy widział końcowy efekt, w wykonaniu któregoś spośród kujonów w swojej grupie lub na roku. W końcu na drodze przetargu, gdzie stawką był gatunek wina, papieros dostał się w ręce Staszka Buszki. W kilka dni po tym spotkaniu, podczas ćwiczeń III roku z chemii organicznej, Staszek poczęstował nim Andrzeja Nowaka. Szczegóły znam tylko z relacji naocznych świadków. Wyszli na korytarz w towarzystwie kilku innych wtajemniczonych kolegów z akademika. Tu wolno było palić. Odeszli nieco dalej od drzwi laboratorium i bezwiednie podeszli w pobliże drzwi gabinetu prof. Jana Moszewa. Zatrzymali się i zapalili papierosy. Po kilkudziesięciu sekundach oczekiwania nastąpiła detonacja. Była ona tak głośna, że aż szyby się zatrzęsły. Usłyszawszy wybuch, część asystentów wybiegła na korytarz. Ze swego gabinetu wyskoczył blady prof. Moszew. Może nie byłoby większych kłopotów, gdyby nie to, że mały kawałek tytoniu uderzył Andrzeja w gałkę oka i konieczna była interwencja okulisty. Lekkie uszkodzenie oka minęło szybko, ale afera narastała z godziny na godzinę, z dnia na dzień. Finałem sprawy była rozprawa dyscyplinarna, podczas której oskarżeni byli Staszek i Wiesiek, jako bezpośredni sprawcy zdarzenia. Wyrok był surowy. Zawieszenie w prawach studenta, dla Staszka zostało ono później złagodzone na zawieszenie warunkowe. Wiesiek otrzymał nieco niższą karę. Jak to się

stało, że nie zostałem pociągnięty do odpowiedzialności jako współwinny, do dzisiaj stanowi dla mnie duży znak zapytania. Przypadek? Rozsądek? Solidarność? Okres między tym wydarzeniem a rozprawą dyscyplinarną przeżywałem w ogromnym napięciu i strachu. Stanowiło to jeszcze jeden element mojej edukacji. Stwierdziłem, że nie można być nigdy zbyt pewnym rezultatów swoich czynów. Mimo wielokrotnych eksperymentów, jakie robiłem z tym związkim, jego ilość, którą upakowałem w papierosie, musiała być jednak zbyt duża i nie zapewniała bezpieczeństwa.

Zabawy z acetylenkiem srebra interesowały nie tylko mnie. Jurek Gałka przejął moje doświadczenia, a znając zasadę, że uczeń powinien prześcignąć nauczyciela, dążył do jej potwierdzenia. Oto czego dowiedziałem się z jego relacji oraz opowiadań kolegów. Pod koniec ćwiczeń laboratoryjnych Jerzy kończył sączyć dodatkowo wyprodukowaną niewielką porcję acetylenku srebra. Spieszył się bardzo, gdyż jeszcze przed trzynastą powinien był zdążyć do Collegium Novum, aby odebrać stypendium. Wilgotny związek wsypał do słoiczka, po czym włożył go do kieszeni płaszcza i pobiegł do Novum. Zdążył na czas. Zadowolony, że stypendium w kieszeni, biegł schodami w dół, skacząc po dwa, trzy schody na raz. Gdy był już nieomal przy portierni, rozległ się huk, jak gdyby ktoś rzucił petardę. Jurek poczuł ostry ból wewnętrznej strony uda. W holu znajdowało się wówczas kilka osób, w tym prorektor prof. Kazimierz Wyka oraz z-ca kierownika Studium Wojskowego mjr Władysław Bednarski. Wystraszeni świadkowie tego wydarzenia rozglądali się podejrzliwie wokół siebie. Najbardziej zakłopotany Jurek, zakrywając drugą połowę płaszcza dziurę w okolicy prawej kieszeni, zwrócił się drżącym głosem do kolegi stojącego kilka metrów od rektora. „Co, co, co się stało? Pewnie to coś w Studium Wojskowym”. Odwrócił uwagę wszystkich obecnych od siebie i niezauważony wyszedł na zewnątrz. Poszukiwania śladów wybuchu, jak i sprawcy spełzły na niczym. Jurek natomiast udał się do najbliższej ubikacji, gdzie powyjmował odłamki szkła z uda i opatrzył chusteczką ranę. Nie zaznał poważniejszych uszkodzeń nogi ani też innych części ciała. Chodzi nadal sprężystym krokiem, a ożeniwszy się, został ojcem dwójki dzieci. Zresztą i przed ślubem nie stronił od dziewcząt, co więcej, cieszył się u nich dużym powodzeniem.

Statystycznie biorąc, studia chemiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim miały dwa poważne progi, których przekroczenie otwierało drzwi do ich ukończenia. Pierwszym była matematyka u profesora Leśniaka; dwa egzaminy na I roku i jeden po czwartym semestrze. Drugi to chemia teoretyczna u profesora Kazimierza Gumińskiego. Mimo że do egzaminu u profesora Leśniaka wystarczyło tylko znać zakres matematyki objęty jego wykładami, to jednak dla wielu z nas było to bardzo trudne. Najlepiej obrazują to następujące liczby. Nasz I rok rozpoczęło ponad 130 osób. Z grupy tej na początku II roku pozostało około osiemdziesięciu, w tym również ci, którym udało się uzyskać zgodę na powtarzanie roku (5, 6 osób). Kłopoty z matematyką nie ominęły również mnie. Prawdą jest, że nie byłem bardzo gorliwym studentem. Inne zainteresowania rozbudzały wcześniej bardzo absorbowały mój czas. Dalej w pogodne dni „urywałem się” na lotnisko szybowcowe w Pobiedniku, aby z góry spojrzeć na ziemię. Uprawiałem sport – lekkoatletykę i piłkę nożną, startując w obu dyscyplinach na międzywydziałowych zawodach jako przedstawiciel wydziału. Zimą trudno było mi zrezygnować z nart. Wcześniejsze zainteresowania poezją i literaturą, wyniesione jeszcze ze szkoły średniej, skłoniły mnie do przyłączenia się do grupy tworzącej wówczas Międzyuczelniany Klub Literacki, którego siedzibą był klub „Zaczek”, nazwany dwa lata później „Starym Zaczkim”. Muszę wspomnieć, że czołówkę MKL stanowili wówczas: Leszek Moczulski, Wicek

Faber, Beata Szymańska i Mietek Czuma. Starałem się prezentować również tam swój wcześniejszy i „świeżo upieczony” dorobek poetycki. Tak rozproszone zainteresowania musiały odbijać się na wynikach moich studiów. Mimo, że przy zaliczeniach nie miałem większych trudności, szczególnie wtedy, gdy uczęszczałem pilnie na zajęcia, to jednak... Do egzaminu z matematyki byłem przygotowany miernie. Brak szczęścia oraz dostateczny stopień zaliczenia ćwiczeń z matematyki spowodowały, że w pierwszym podejściu oblałem. Było to normalne, gdyż tylko 40–50% zdających zaliczało egzamin za pierwszym razem. Zmusiło mnie to do głębokiego przeanalizowania stawianych sobie celów. Czy w ogóle je kiedyś miałem? Przecież dotychczas robiłem wszystko, co interesowało mnie na dziś, nie wybiegałem w przyszłość. Prawdopodobnie podświadomość kierowała moimi czynami znacznie silniej niż rozsądek. Zdecydowałem się nadrobić zaległości oraz uzupełnić luki w obowiązującym materiale z matematyki. Podjąłem wytężoną pracę. Termin był krótki. Dwukrotnie powtórzyłem cały zakres wykładów za wyjątkiem ostatniego, który miałem opanowany z drobnymi lukami w jego zrozumieniu. Nie miałem już czasu, aby zaistniałe tu wątpliwości wyjaśnić z asystentem czy któryś z kolegów. Egzamin poprawkowy składał się wyłącznie z odpowiedzi ustnej. Metodą losowania delikwent wyciągał kartkę, na której były trzy pytania. W czasie egzaminu w gabinecie prócz profesora było trzech studentów i jego asystent. Dwóch przygotowywało się do odpowiedzi, podczas gdy trzeci odpowiadał. Przyszła kolej i na mnie. Przeczytałem pytania. Pierwsze to właśnie temat ostatniego wykładu, drugiego w ogóle nie znałem – temat nie był wyłożony przez profesora, trzecie – byłem przekonany, że mogę odpowiedzieć nie gorzej niż na cztery. Postanowiłem odpowiadać w kolejności pytań: trzecie, pierwsze i drugie. Niestety zasady egzaminu, którymi kierował się profesor nie uwzględniały takiego przypadku. Musiałem odpowiadać w kolejności pytań umieszczonych na wylosowanej kartce. Los tu był szczególnie nielaskawy dla mnie. Pierwsza odpowiedź: –3. Mimo próby wytłumaczenia profesorowi, że temat drugiego pytania nie był przedmiotem jego wykładu, a więc zgodnie z jego zapowiedzią nie obowiązywał do egzaminu – nic nie wskórałem. Na trzecie pytanie profesor już nie pozwolił mi odpowiadać. Uzasadniał to zasadami rachunku statystycznego. Moja prośba, aby zechciał przepytac mnie z całości materiału, spełzła na niczym. Nabrałem wówczas wstrętu do statystyki prezentowanej przez profesora. Na zakończenie egzaminu profesor w odpowiedzi na moją prośbę, aby zgodził się na egzamin komisyjny, odpowiedział: „Proszę pana, nie mogę wyrazić zgody na egzamin komisyjny, bo byłoby to sprzeczne z moimi zasadami, ale może pan próbować w dziekanacie. Musi pan jednak wiedzieć, że jak dotąd, to nikomu jeszcze nie udało się zdać u mnie takiego egzaminu. Wyszedłem z gabinetu kompletnie bezsilny. Usiadłem. Koledzy z „gieldy” nie podchodzili, aby zapytać, czy zdałem. Było to niepotrzebne, to było widać. Najtrudniej docierał do mojej świadomości fakt, że mogłem oblać egzamin, będąc tak dobrze przygotowany. Co dalej? Jak? Zagniewany nie na profesora, lecz na los postanowiłem z nim wygrać. Poszedłem w tej sprawie do profesora Moszewa, który w tym okresie pełnił funkcję dziekana. Jeżeli chce pan uzyskać moją zgodę na „komis”, to zgodnie z regulaminem należy zakwestionować obiektywność egzaminatora. To niemożliwe! Nie byłaby to prawda – odpowiedziałem. Wyjaśniłem dziekanowi przebieg egzaminu w szczegółach, tak jak to się odbywało. Ponadto do chwili rozmowy z dziekanem udało mi się wyjaśnić, skąd w pytaniach znalazła się tematyka, której profesor Leśniak nie wykladał. Otóż rok wcześniej temat ten był w programie wykładów. Następnie został pominięty. Zmiany te nie zostały uwzględnione w pytaniach egzaminacyjnych.

W końcu powiadomiono mnie, że dziekan wyraził zgodę na egzamin komisyjny. Okazało się, że oprócz mnie do egzaminu dopuszczono jeszcze dwanaście osób. Chyba nigdy nie pracowałem tak intensywnie jak wówczas. Część powtórek robiłem wspólnie z koleżanką z roku – Zosią Bzowską, która była w podobnej sytuacji do mojej. Wreszcie egzamin. Napięcie i bomba. Z całej grupy jako jedyny zdałem egzamin komisyjny. Zaliczyłem rok! Wygrałem z losem. Oceniam, że od tego czasu matematykę znałem lepiej niż dobrze. Wiele na tym zyskałem. Zdobyte wiadomości zacząłem systematycznie sprzedawać jako korepetytor – zarówno uczniom ze szkół średnich, jak i studentom pierwszych lat. Dalszy tok moich studiów przebiegał już bez większych problemów. Pomogło mi w tym zrozumienie prostej zasady: aby osiągnąć zadowalające rezultaty, należy na nie solidnie zapracować. Od tej chwili znacznie więcej czasu poświęcałem studiom. Tu nastąpiły pierwsze kontakty z Kołem Chemików. Do włączenia się w jego pracę namówiła mnie ówczesna wiceprezes Krystyna Schreiber. Utrzymywałem z nią wówczas dobre koleżeńskie kontakty. Studiowała dwa lata wyżej niż ja. Potwierdzało to opinię, że lubiłem obracać się w gronie kolegów starszych lub równych wiekiem. Na moim roku najaktywniejszą działaczką Koła Chemików była Hanka Stenzel – wybrana później prezesem. Dużymi autorytetami w Kole Chemików byli wówczas: Jerzy Naskalski i Jurek Vetulani, jako ci, którzy wiekiem i stażem pracy w kole dawali przykład i można ich było brać za wzór. Krystyna Schreiber, Andrzej Zieliński, Jacek Ziółkowski, Rysiu Chrapek i wielu innych stanowili ten trzon, do którego starałem się dopasować i chociaż byłem od nich o rok lub dwa niżej, nie stanowiło to żadnych przeszkód. Aktywny i bezpośredni mój udział w pracach Koła Chemików był krótki. Na II roku wybrano mnie starostą roku, a stąd szybko wciągnięto w pracę Rady Wydziałowej ZSP. W tamtym czasie organizacja ta po przejściu zasad i charakteru poprzednika, jakim był „Bratniak”, była apolityczna i uważana za najbardziej demokratyczną w kraju. Praca w ZSP wciągała mnie coraz bardziej. Teraz kontakt z Kołem Chemików w praktyce ograniczał się do zabezpieczenia środków finansowych na jego działalność oraz popierania i promowania go w Radzie Uczelnianej ZSP, do której przy sprzyjającym zbiegu okoliczności zostałem wybrany bardzo szybko. Zostałem członkiem Komitetu Wykonawczego Rady Uczelnianej i jej skarbnikiem. Z tej pozycji znacznie skuteczniej mogłem wspierać bliskie mi sercu Koło Chemików. Było ono w tym okresie obok TPBP (Towarzystwa Przyjaciół Biblioteki Prawa) i Koła Przyjaciół ONZ najaktywniejszym kołem naukowym studentów UJ.

Przy tej okazji pragnę również wspomnieć o tych działaniach, które próbowałem podjąć na rzecz Koła Chemików, a nie udało mi się uwieńczyć ich sukcesem. Dotyczy to prób podjęcia badań w zakresie ochrony środowiska, jak również wydania skryptu z wykładów prof. K. Gumińskiego.

Byłem wówczas na III roku i moje spojrzenie na chemię miało już szersze horyzonty oraz lepiej ugruntowane podstawy. Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego ogłosiło wówczas konkurs dla Komisji Nauki Rad Uczelnianych ZSP i kół naukowych na projekt badawczy w zakresie ochrony środowiska. Była to duża szansa dla poszczególnych kół, gdyż przewidywane nagrody znacznie przekraczały ich roczne budżety. W gronie kilku kolegów z roku oraz z Koła Chemików zastanawialiśmy się, jak i z czym przystąpić do konkursu. Pomysły wielokrotnie przekraczały nasze możliwości. Widzieliśmy wówczas konieczność wspólnego z biologami podjęcia tematu niemal na skalę przemysłową. Natomiast realnie patrząc, mogliśmy się spodziewać trudności nawet w wykorzystaniu laboratoriów poszczególnych katedr. W końcu zrezygnowaliśmy. Wówczas nie widzieli-

śmy jeszcze tak jasno problemów ochrony środowiska, jak to postrzegamy dziś. Minęło przecież ponad trzydzieści lat!

Jak już wcześniej wspomniałem, studenci chemii, aby zakończyć z tarczą pięcioletnie zmagania z nauką, musieli uporać się z dwoma poważnymi progami: matematyką i chemią teoretyczną. Ta ostatnia była jeszcze przede mną. Mimo że wspaniałych wykładów profesora Gumińskiego słuchaliśmy z otwartymi ustami, a jego sposób podania i objaśnienia poszczególnych zagadnień nie tylko zachęcał do słuchania, ale również był pewnym przeżyciem duchowym, to jednak większość z nas – ludzi o umysłach przyrodników i eksperymentatorów – miała poważne trudności w matematycznym ujęciu rozważań teoretycznych, abstrakcyjnych lub niewyobrażalnych pojęć, nawet takich jak przestrzeń większa niż trójwymiarowa, a coś dopiero z kwantową teorią pola, funkcją opisującą pełny stan kwantowo-mechaniczny elektronu czy też z próbami rozpisania równań Schrödingera dla atomu większego od wodoru. Trudności te potęgowane były tym, że większość materiału wykładanego przez profesora nie była objęta żadnym dostępnym podręcznikiem ani nawet skryptem. W uzgodnieniu z Profesorem podjąłem się utrwalenia jego wykładów na taśmie magnetofonowej. Miało to służyć za podstawę do wydania przez Koło Chemików skryptu dla studentów III roku. Profesor zadeklarował, że gdy spiszymy wykłady, osobiście dokona wymaganej korekty. Zaznaczył również, że niedługo powinien się ukazać podręcznik obejmujący całość jego wykładów w nieco innej formie niż nam ją podawał. Sądził również, że nawet wówczas, gdy podręcznik ten będzie już w sprzedaży, skrypt mógłby stanowić jego uzupełnienie. Początki zapowiadały się bardzo obiecująco. Z Rady Uczelnianej ZSP wypożyczyłem do tego celu magnetofon szpulowy „Smaragd” produkcji NRD, będący wówczas szczytem techniki na rynku polskim. Taśmy zostały nam подарowane przez Polskie Radio. Tak przystąpiłem do nagrań wykładów prof. K. Gumińskiego z chemii teoretycznej. Niestety nie powiodły się próby ich spisania bezpośrednio po nagraniach. Pochłaniało to zbyt dużo czasu, a chętnych do pomocy nie znalazłem. Postanowiłem zrobić to później, w przerwie semestralnej lub w wakacje. Pomimo nagrania na taśmie prawie wszystkich wykładów profesora (bez jednego), zredagowanie z nich skryptu nigdy nie doszło do skutku. Po zdanym egzaminie z chemii teoretycznej sam byłem już mniej zainteresowany jego wydaniem. Młodszy koledzy, jak i członkowie zarządu koła, namawiani do współpracy w tym przedsięwzięciu, mimo początkowego zapału nigdy zadania nie podjęli. Jedna z taśm z nagraniem tych wykładów zachowała się do dziś w mojej biblioteczce pośród podręczników, których używałem na studiach. Nadal leży obok później wydanej przez PWN *Chemii fizycznej*, której część I, autorstwa K. Gumińskiego, obejmuje również te zagadnienia, które studiowaliśmy, korzystając tylko z wykładów.

W kolejnej kadencji Rady Uczelnianej ZSP ponownie zostałem wybrany do jej władz – zostałem wiceprzewodniczącym. Prawdę mówiąc, mocno zaangażowałem się w tę pracę. W tym okresie była to jeszcze bezinteresowna działalność pasjonatów, prawdziwych idealistów lub fanatyków, a ponadto tych, którzy byli delegowani tam przez PZPR, chociaż i oni podejmowali większość spraw z młodzieńczą pasją i zaangażowaniem. Gdyby nie fakt, że w pewnych sytuacjach podporządkowywali się poleceniom partyjnym, nie różniliby się od pozostałych zapaleńców, którzy wiele godzin i nieprzespanych nocy poświęcali działalności społecznej.

Próby nacisku i wpływania partii na działalność Rady Uczelnianej ZSP nasilały się stopniowo. Szczególnie było to widoczne podczas wyborów i obsadzania stanowisk w Komitecie Wykonawczym. Odczułem to również na własnej osobie. W drugiej ka-

dencji mojego członkostwa w Radzie Uczelnianej jej Komitet Wykonawczy był już w większości złożony z członków partii. Należałem do mniejszości. Zbliżał się jubileusz sześćsetlecia UJ. Rada Uczelniana ZSP była zobligowana do powołania studenckiego komitetu obchodów tego święta. Padła wówczas propozycja, abym został przewodniczącym tego komitetu. Pamiętam, jak Stefan Ciepły wrócił po jakimś zebraniu w Collegium Novum i zakomunikował mi, że zgłoszono moją kandydaturę, która została wstępnie zaakceptowana pod warunkiem, że wstąpię do partii. Byłem tym mocno zbulwersowany. Nieświadom sytuacji i roli, jaką ponownie zaczęła odgrywać partia, nie mogłem zrozumieć, po co mam być członkiem tej organizacji, której wielu zasad nie akceptuję. Co wspólnego ma ZSP i jego Komitet Jubileuszowy z tym, że mam być członkiem PZPR? Czytającemu te zdania dzisiaj może wydawać się dziwne tamto moje rozumowanie, ale przecież od tego czasu minęło trzydzieści lat. Mało kto mógł wówczas widzieć ten obraz tak, jak przedstawiany jest on dziś. W wyniku rozmów z kilkoma członkami Komitetu Wykonawczego RU ostatecznie odpowiedziałem: „Przewodniczącym nie muszę zostać, szczególnie w sytuacji, gdy to ma być uzależnione od mojego członkostwa w partii”. Niedługo po tym zaproszono mnie na rozmowę z I sekretarzem i kilkoma członkami egzekutywy Komitetu Uczelnianego PZPR. Wśród wielu pytań zadano również takie: „Co jest powodem, że nie chcę wstąpić do PZPR?” Odpowiedziałem wówczas, że dopóki będę w partii tacy ludzie, jak wielu z piastujących aktualnie wysokie funkcje w uczelnianych władzach ZMS, to mnie tam nie będzie. Delikatnie mówiąc, w tym okresie relacje pomiędzy Radą Uczelnianą ZSP a Uczelnianym Komitetem ZMS nie były najlepsze. Po tym spotkaniu myślałem, że rozmowy na temat mojej kandydatury zostały zakończone jednoznacznie. W tydzień później dowiedziałem się, że władze uczelni zaakceptowały moją kandydaturę. Powierzono mi funkcję Przewodniczącego Komitetu Obchodów Śześsetlecia UJ przy RU ZSP. Tu rozpoczęła się inna płaszczyzna kontaktów i współdziałania z władzami uczelni i miasta, Radą Naczelną ZSP, Ministerstwem Szkolnictwa Wyższego i innymi władzami centralnymi. Łączenie nauki z pracą w ZSP, a szczególnie z obowiązkami przewodniczącego Komitetu Jubileuszowego bywało trudne. Byłem wówczas na V roku studiów i przygotowałem pracę magisterską u profesora Bronisława Zapióra. Ciekawy temat związany z membranami jonowymiennymi dawał mi nadzieję, że po studiach rozwinę tę tematykę w zakresie przemysłowego wdrożenia jej do oczyszczania wody morskiej lub badań biochemicznych. Jednak los zarezerwował mi inną drogę. Zbliżał się koniec roku i zbliżały się centralne uroczystości obchodów sześćsetlecia uniwersytetu. Pozostał mi jeszcze jeden zaległy egzamin oraz oddanie i obrona pracy magisterskiej. Nawet prac organizacyjnych związanych z jubileuszem sięgał zenitu. Wreszcie pierwsi goście – powitanie ich na lotnisku w Balicach, finał konkursu wiedzy o Uniwersytecie Jagiellońskim w Rotundzie oraz bal w Collegium Chemicum, na którym ogłaszałem wyniki ogólnopolskiego konkursu literackiego i fotograficznego. Wszystko zaczynało się wspaniale. Do tego jeszcze obok kochana dziewczyna. Bal trwał prawie do rana. Był ciepły poranek majowy, słońce dobrze już wisiało nad horyzontem lekko zaczerwienione od krakowskiego powietrza nawianianego oparami z Nowej Huty. Do rozpoczęcia głównego pochodu jubileuszowego pozostało jeszcze około pięć godzin. Spać już nie było warto. Przypominałem sobie, że miałem odwiedzić rodziców w Okocimiu, dać im program uroczystości jubileuszowych i kolejny już raz ich zaprosić. Przy okazji miałem zabrać pozostawiony tam tydzień wcześniej podręcznik, z którego powtarzałem materiał do egzaminu. Pociągiem w obie strony trudno byłoby zdążyć. Dysponowałem motocyklem Rady Uczelnianej będącym pozostałością po loterii fanto-

wej (WFM). Zgłosiłem swój zamiar wyjazdu ówczesnemu wiceprzewodniczącemu RU Heniowi Nawarze, towarzyszącemu mi do rana w organizacji balu, i ustaliłem z nim jeszcze kilka drobnych szczegółów głównych uroczystości jubileuszowych. Obiecałem, że wrócę najpóźniej o dziewiątej. Ruszyłem w niezbyt daleką drogę (około 60 kilometrów). Pamiętam jeszcze wyjazd z Krakowa. Reszta zdarzeń została wymazana z mojej pamięci w wyniku wypadku, któremu uległem przy wiadukcie kolejowym w Wieliczce podczas drogi powrotnej. Ponad dziesięć dni walczyłem o życie. Trochę szczęścia, młody organizm i udało mi się jakoś wyjść z tych opresji. Zarówno sama kraksa, jak i wydarzenia obejmujące czas około dwóch godzin przed nią oraz pierwsze dni pobytu w szpitalu, zostały zupełnie wymazane z mej pamięci. Znam je tylko z opowiadań znajomych, rodziców, kolegów. W szpitalu przekonałem się, jak wielu miałem przyjaciół. Największą niespodzianką jednak była dla mnie wizyta dziekana naszego wydziału prof. Jerzego Rajskego, którą złożył mi w szpitalu bezpośrednio po tym, gdy wiadomość doszła do władz uczelni. Dowiedziałem się o tym znacznie później, kiedy odzyskałem świadomość i zacząłem wracać do życia.

Jeszcze podczas mojego pobytu w szpitalu ktoś ze znajomych przyniósł mi bardzo smutną wiadomość o śmierci J.M. Rektora Uniwersytetu – prof. Kazimierza Lepszego. W przygotowaniach jubileuszowych mój kontakt z rektorem, który kierował całością uroczystości, był szczególnie bliski. Jego śmierć przeżyłem w wielkim smutku, chociaż nadal byłem na środkach uspokajających.

Czas obrony prac magisterskich naszego roku spędziłem jeszcze w szpitalu. Termin zakończenia studiów i podjęcia pracy w Płockiej Petrochemii, skąd pobierałem fundowane stypendium, uległy przesunięciu.

Nowy rok akademicki był dla mnie czymś zupełnie nowym. Pozostały mi jeszcze drobne wykończenia w pracy magisterskiej i egzamin z technologii chemicznej. Żadnych obowiązkowych zajęć – ćwiczeń czy wykładów. Dysponowałem dużym zapasem wolnego czasu. Podczas spotkania z kolegą z akademika – Jankiem Kryściakiem, który już drugi rok pracował w Instytucie Zootechniki, dowiedziałem się, że jego szef – prof. Rajmund Ryś, również absolwent UJ, szuka młodego chemika do pracy. Profesor zakupił nowoczesny aparat do analizy instrumentalnej – chromatograf gazowy i szuka kogoś, kto by go uruchomił i przystosował dla badań biochemicznych. Na ogłoszenie w prasie nie zgłosił się nikt odpowiedni. Przecież nie znam się na tej technice laboratoryjnej – to zupełna nowość, powiedziałem. To się nauczysz, odpowiedział Janek. Ponadto w Krakowie są już dwa podobne aparaty, będziesz miał gdzie pójść na konsultacje. Zrobisz to, co ja rok temu. Dostałem automatyczny analizator aminokwasów Beckmana i też musiałem go uruchomić, przystosować do badań szefa. Teraz mam już swoją pracownię. Zachęciło mnie to do podjęcia rozmów z profesorem, a następnie do uruchomienia aparatu. Ponieważ jako stypendysta Płockiej Petrochemii nie mogłem być zatrudniony na normalnych warunkach umowy o pracę w Instytucie Zootechniki, więc pracowałem tam w ramach comiesięcznych umów o dzieło lub na zlecenie. W krótkim czasie uruchomiłem chromatograf, przystosowałem go do analizy kwasów tłuszczowych wyekstrahowanych z treści żywca, adaptując i modyfikując metody amerykańskie dające początek tym metodom analizy chemicznej. Krótko po tym zostałem włączony w cykl badań prowadzonych przez profesora Rysia. Dość szybko zdobyłem jego zaufanie, czego wyrazem była propozycja podjęcia pełnego etatu w Instytucie. Na zgłoszone uwagi, że mam zobowiązania wobec Petrochemii, profesor powiedział – „Sprawy spłaty pańskiego stypendium załatwił przez Ministerstwo Rolnictwa”. Tak też się stało. Po obronie pracy

magisterskiej i zrefundowaniu mojego stypendium Płockiej Rafinerii przez Ministerstwo Rolnictwa zostałem zatrudniony w Instytucie Zootechniki w Krakowie.

Niedługo po tym, za zgodą prof. Rysia podjąłem dodatkowo studia biologii na UJ, jako drugi fakultet. Wyrażając zgodę na moje zatrudnienie, profesor dał mi do zrozumienia, że chciałby, bym podjął studia zootechniczne, ale nie nalegał. Zostałem przyjęty na II rok biologii – studiów dziennych, z warunkiem uzupełnienia do końca roku dwóch zaliczeń i jednego egzaminu z I roku. Łączyłem pracę i studia. Było to uciążliwe, chociaż nic nowego, znów tak jak przedtem, gdy łączyłem studia i pracę społeczną w ZSP. Z braku mieszkania oraz pustej kieszeni poznałem dołą i niedołą oraz warunki waletowania w akademiku. Początkowo mieszkalem w trzyosobowym pokoju z młodszymi studentami chemii – Karolem Krzysztoforskim, Krzyśkiem Karolinim i Adrianem Dudkiem, później na zmianę z fizykami – Józkiem Michalskim, Cześkiem Ryszem i Jankiem Piekarczykiem. Staralem się nie nadużywać gościnności mieszkańców. Dobrze poznałem niewygody legalnych mieszkańców, goszcząc wcześniej waletujących u mnie kolegów. Biolog Antek Śmiałowski waletował w moim pokoju ponad rok. Inni spłacali mi teraz jego dług oraz dług tych, których gościłem krócej.

Prawie dwa pierwsze lata miejscem mojej pracy oraz nauki był Instytut Zootechniki oraz biblioteki, w tym również Biblioteka Jagiellońska. Przypuszczam, że wówczas przez rok spędziłem tam więcej czasu niż podczas całych pięciu lat studiów. Podobnie jak każde z dotychczas podejmowanych zajęć, pracę w Instytucie Zootechniki rozpocząłem z dużym zaangażowaniem i zapałem. Wtopiłem się w zakres prac Zakładu Żywienia Zwierząt kierowanego przez profesora Rysia. Tutaj też spotkałem wielu przychylnych mi starszych kolegów – chemików z UJ. Również tu poznałem byłego prezesa Koła Chemików – Jurka Dumańskiego. Był on wówczas kierownikiem pracowni. Młodzieńcza natura oraz inne zalety i przywary tego wieku – chmurnego i durnego, jeszcze nie wyparowały z mojej głowy. Pamiętam pewien czerwcowy dzień, gdy wracałem do Instytutu Zootechniki na Sarego z Collegium Chemicum, gdzie od kolegów z Zakładu Chemii Organicznej zdobyłem kilka wzorcowych próbek lotnych kwasów tłuszczowych. Ilości niewielkie, po kilka mililitrów każdego z nich. Były to kwasy: izomasłowy, walerianowy, kapronowy, kaprylowy – znane ze swojej charakterystycznej woni. Pomimo że koledzy starali się je szczelnie zapakować w próbówki ze szlifem i kilka warstw gazety, to jednak temperatura otoczenia robiła swoje. Wsiadłem do tramwaju przy DS „Zaczek” od ulicy Oleandry. Drzwi z przodu i z tyłu były otwarte i lekki przewiew wentylował nagrzane wewnątrz powietrze. Na marginesie muszę wspomnieć, że tą trasą jeździł wówczas tramwaj nr 0, a jego drzwi były zamykane tylko zimą oraz w chłodne dni jesieni czy wiosny. W tej sytuacji brać studencka i inna młodzież wskakiwała do tramwaju lub go opuszczała nie tylko na przystankach. W tramwaju było niewiele osób. Stałem obok umorusanego robotnika wracającego z pracy, który siedział samotnie na ławce. Był zarośnięty w brudnym i nieco poszarpanym ubraniu. Na przeciwległej ławce usiadły dwie starsze panie elegancko ubrane o wyglądzie i zachowaniu przypominającym krakowskie mieszkanki ze sztuk Gabrieli Zapolskiej. Po chwili jedna z nich zacisnąwszy nieco wargi i zmarszczywszy nos pociągnęła nim w charakterystyczny sposób, jak gdyby poczuła jakiś niemiły zapach. Zwróciła się do swej przyjaciółki, mówiąc: „Wie pani, że niektórzy ludzie to chyba się tygodniami nie myją”, znacząco spoglądając w stronę siedzącego naprzeciw mężczyzny, „a skarpetek to w ogóle nie piorą, i jak tak można iść między ludzi, to skandal” – wtórowała druga. W miarę jak tramwaj zwalniał, rosło napięcie dyskusji pomiędzy paniami. Wzrok ich raz za razem padał na drzemiącego mężczyznę tak, jak gdyby chciały go złapać

w swe ostre szpony i wyrzucić z tramwaju. Szybko zrozumiałem przyczynę tego zdarzenia. Do instytutu nie dojechałem. Nie chcąc dawać dostojnym paniom pełnego rozwiązania zagadki, wysiadłem razem z umorusanym robotnikiem przy Placu Wiosny Ludów. Dalszą drogę przebyłem pieszo. W instytucie przyniesione skarby – wzorce kwasów tłuszczowych – umieściłem w przeznaczonym na ten cel zamrażalniku. Gazetę, w którą były one wcześniej zapakowane, włożyłem do kosza obok sekretariatu dyrektora. Tam też do popielniczek wrzuciłem kawałki bibuły filtracyjnej, którą wytarłem nieco zamoczone przy rozpakowaniu próbki. Pomimo że pojawienie się w instytucie różnych, mniej lub bardziej niemiłych, zapachów pochodzących z laboratoriów chemicznych i badanych tam materiałów biologicznych, nie było czymś niezwykłym, to jednak do końca tego dnia wiele osób, w tym także kilka na polecenie dyrekcji, starało się znaleźć źródło ich pochodzenia. W naszym zakładzie tylko kierowniczką pracowni miała wątpliwości, czy przypadkiem nie była to moja „zasługa”. Zakład liczył około czterdziestu osób. Wszyscy byli ze sobą bardzo zgrani. Panowała dobra atmosfera pracy stwarzana przez profesora. Niemniej jednak można było odczuć, że absolwentów chemii UJ wiąże jakaś niewidzialna nić wzajemnej sympatii. Wszyscy prawie zawsze sobie pomagali. Dokładniej, do momentu, gdy pomoc ta nie zagrażała ich własnym ambicjom czy pozycji. Niektórzy, z racji swojego młodego wieku, jeszcze nie dostrzegali takich niuansów. Z biegiem lat również i oni, podobnie jak miedź nabiera patyny, stawali się ostrożni, podejrzliwi, a uzyskiwane od nich rady stawały się coraz trudniejsze do zrozumienia. Myślę, że prawie każdy, kto zatrzymał się już na pewnym poziomie swojego intelektualnego lub zawodowego rozwoju i brak mu chęci i sił do poznawania nowości, jednak dostrzega, że młodszy od niego stawiają czoła nowym wyzwaniom z dużym zapalem i szybko. Jednak w mojej dziedzinie nieocenioną wartością jest wieloletnie doświadczenie.

Wkrótce moja solidna praca w Zakładzie Żywnienia Zwierząt Instytutu Zootechniki zaczęła owocować. Miałem już pierwsze publikacje i zaczęto mnie dostrzegać w środowisku osób zajmujących się analizą instrumentalną w zastosowaniu do biochemii. Pierwsze kontakty z innymi ośrodkami w kraju i za granicą dawały mi znaczące oparcie, wyzwalając we mnie większą pewność siebie. Wtedy to z ust profesora Rysia padła kolejna propozycja: „Panie Januszu (tak właśnie się do mnie zwracał), przenoszę się do Zakładu Doświadczalnego PAN w Jastrzębcu pod Warszawą. Chciałbym zabrać ze sobą kilku współpracowników. Dotychczas moją propozycję prawie już zaakceptował Janek Kryścik. Pan jest drugą osobą, której to proponuję. Zabezpieczają nam mieszkania i dobre warunki pracy. Ponadto mają oni znacznie więcej pieniędzy na aparaturę i badania. Proszę, aby pan to przemyślał, choć czasu mamy bardzo mało. Za tydzień muszę dać odpowiedź. Nęcąca propozycja wymagała jednak głębokiej analizy, co jest za, a co przeciw. Rozsądek wskazywał bezwzględną przewagę – „za”. Sentyment do Krakowa i środowiska, w które wrośłem, powstrzymywały tę decyzję. W końcu zwyciężył rozsądek. Pierwszy do Jastrzębca wyjechał Janek z żoną. Po kilku miesiącach dostał mieszkanie służbowe w nowo wybudowanym domku jednorodzinnym. Domek, w którym ja miałem zamieszkać, był jeszcze w budowie. Razem z profesorem nadal pozostawaliśmy w Krakowie, chociaż raz na tydzień lub dwa, jechaliśmy do Jastrzębca, aby przygotować tam pole naszego działania. W końcu w Instytucie Zootechniki nastąpiły duże zmiany, w wyniku których prof. Ryś zdecydował się na pozostanie w Krakowie. Ja natomiast z kartą przetargową, jaką było mieszkanie w Jastrzębcu i dużym poparciem profesora mogłem stawiać warunki – pozostać lub przenieść się do PAN w Warszawie. Otrzymawszy mieszkanie w domku jednorodzinnym w Zakładzie Doświadczalnym

Instytutu Zootechniki w Balicach – pozostałem. Janek pozostał w Jastrzębcu, choć nie na długo. Po kilku miesiącach wrócił do Krakowa. W czasie przygotowywanych zmian miejsca pracy i zawirowań z tym związanych, będąc już studentem III roku biologii, zrezygnowałem z dalszych studiów. Potrzebne mi były pieniądze na skromne urządzenie mieszkania, nie mówiąc już o zwykłym utrzymaniu rodziny. Zacząłem się rozglądać za dodatkową pracą, na którą miałem akceptację profesora. Los mi sprzyjał. W ogłoszeniach któreś z gazet przeczytałem, że Centralne Laboratorium Gazownictwa poszukuje specjalisty chemika, który zająłby się uruchomieniem chromatografu gazowego i zastosowaniem go do analizy paliw gazowych. Szybko podjąłem tę pracę na pół etatu. Model aparatu był identyczny z tym, na którym pracowałem w Instytucie Zootechniki – stary pocziwy „Giede GCHF-18”. Na nowym miejscu pracy znów nowi znajomi. Znajomi znajomych, znajomi z chemii UJ. Wszyscy trochę starsi. Dużym autorytetem był tu dla mnie dr Ryszard Zieleniewski. Powodem tego było prawdopodobnie to, że kończył on chemię na UJ razem z prof. Rysiem i prof. Andrzejem Pomianowskim oraz innymi kolegami, którzy zdobyli do tego czasu liczącą się pozycję naukową w środowisku krakowskiej chemii. W towarzyskich rozmowach wszyscy wracali do wspomnień z lat studiów, pracy w Kole Chemików, anegdot i prawdziwych opowiadań o znanych luminarzach nauk chemicznych, które obrosły już brodą, historyjek z przymrużeniem oka. Prace w CLG oraz w Instytucie Zootechniki łączyłem z korzyścią dla obu placówek, jak również dla siebie, poszerzając wiedzę w bardzo zbliżonym zakresie wykonywanych obowiązków. Pewnego dnia, gdy moja obecność w instytucie dobiegała już trzech lat, po cotygodniowym zebraniu zakładu odbyłem dłuższą rozmowę z prof. Rysiem. Dotyczyła ona mojej pracy i mojego dorobku naukowego. Profesor zaproponował mi rozważenie otwarcia przewodu doktorskiego z biochemii. Sugerował, abym porozmawiał w tej sprawie z prof. Marią Sarnecką-Keller na uniwersytecie. Podczas umówionego spotkania z prof. Sarnecką pierwszy raz miałem przyjemność poznać jej młodego asystenta – dr. Aleksandra Koja – znaną dziś postać w środowisku biochemików, aktualnie już po raz drugi J.M. Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z braku spójności tematyki badań prof. Rysia i prof. Sarneckiej-Keller oraz innych niedomówień nie doszło do ich bezpośrednich rozmów i uzgodnień zakresu współpracy. Zamiar otwarcia przewodu doktorskiego pod kierownictwem prof. Sarneckiej pozostał bez realizacji. Niedługo później nawiązałem współpracę z prof. Tadeuszem Szczepkowskim z Zakładu Biochemii Akademii Medycznej. Poznałem go wcześniej, gdy jako student V roku chemii uczęszczałem na jego wykłady monograficzne. Z inicjatywy profesora rozpocząłem badania nad występowaniem kwasów tłuszczowych w kamieniach żółciowych oraz metabolizmem ich powstawania. Wtedy ukształtował się zarys mojej pracy doktorskiej. Była ona związana z wykryciem obecności w kamieniach żółciowych kwasu 12-hydroksystearynowego, badaniami jego przemian oraz opracowaniem szybkiej metody oznaczania go obok występujących tam innych kwasów tłuszczowych. Mając znacznie zaawansowaną pracę doktorską, mogłem otworzyć przewód w Instytucie Chemii UJ. Nagła śmierć prof. Szczepkowskiego pokrzyżowała moje plany. Pomimo że prace doświadczalne miałem w zasadzie zakończone, a redakcję pracy doktorskiej daleko zaawansowaną, przewodu tego nie zamknąłem. Głównym, choć nie jedynym powodem tego był fakt, że wcześniej zmieniłem pracę, przenosząc się do Instytutu Technologii Nafty z zachowaniem jednej drugiej etatu w Centralnym Laboratorium Gazownictwa.

W ITN zetknąłem się z nowoczesnym dobrze wyposażonym laboratorium chemicznym pracującym dla przemysłu chemicznego, a właściwie dla przemysłu naftowego i pe-

trochemicznego. Dalej zajmowałem się analizą instrumentalną z poszerzeniem jej zakresu na podczerwień, ultrafiolet, spektrografię, analizę termiczną i inne. Chromatografia gazowa pozostała jednak głównym zakresem tematycznym moich zainteresowań. W sposób jakoby naturalny łączyłem pracę w ITN z zatrudnieniem na jedną drugą etatu w CLG. Badania fizykochemiczne oraz analiza węglowodorów występujących w ropie naftowej i jej produktach oraz w gazie ziemnym, a później w stałych surowcach i półproduktach węglowodorowych, pochłaniały mnie niemal całkowicie. Szybko wzbogaciłem swój dorobek naukowy, jak również i pozycję (kierownik pracowni, p.o. kierownika zakładu). Dużym przeżyciem było dla mnie pierwsze wystąpienie publiczne na międzynarodowej konferencji analitycznej w Bratysławie. Miałem wygłosić tam w języku angielskim referat z badań, które prowadziłem w ITN. Żaden z dotychczas zdawanych egzaminów nie wywołał u mnie tyle stresów, co oczekiwanie na swoją kolej w programie konferencji. Jeszcze podczas referatu mojego poprzednika chciałem uciec z sali, schować się w łazience lub sam nie wiem, co zrobić, by tylko nie występować. Emocje na poziomie przedszkolaka lub co najwyżej pierwszoklasisty. Wreszcie nadszedł ten moment, decyzja, podnoszę się z fotela i udaję na mównicę. Początkowo zaczynam czytać swój referat. Czuję, że nie jest to dobra forma prezentacji. Po chwili odrywam się od tekstu pisanego i już relacjonuję jego dalszą część z głowy. Poszło bardzo dobrze. Przed dyskusją otarłem tylko pot z czoła – nie taki diabeł straszny...

Drugie podobne przeżycie, ogromny stres i napięcie psychiczne miałem tuż przed egzaminem doktorskim. Tam jednak nie miałem gdzie się ukryć. Wiedziałem, że komisja czeka właśnie na mnie i tylko na mnie. Zdawałem sobie sprawę, że z zakresu mojej pracy doktorskiej wiem znacznie więcej niż ktokolwiek z komisji, ale egzamin teoretyczny? Zakres tematyczny był bardzo rozległy, a każdy członek komisji prezentował ogromną wiedzę szczegółową w zakresie swoich wykładów i każdy z nich mógł mi zadać pytanie. Spięty do granic wytrzymałości wszedłem na salę. Pierwsze pytania – pierwsze odpowiedzi i pierwsze pęknięcie lodów. Po każdym z kolejnych pytań napięcie stopniowo spadało, jak gdybym zjeżdżał po gałęzi hiperboli, wolno zbliżając się do zera. Później już tylko obrona przy całej Radzie Wydziału. Tu mogłem się popisać i prawdę mówiąc, nie miałem w tym żadnych trudności. Jednomysłność w wyniku głosowania dała mi ogromną satysfakcję. Miało to dla mnie szczególne znaczenie, gdyż w chwili obrony pracy doktorskiej wiekowo nie byłem już młodzikiem. W tym czasie kilku moich kolegów zdobyło już tytuły profesorskie. Osiągnąłem ponadto znaczącą pozycję w środowisku naukowym instytutów resortowych w Krakowie. Nim doszło jednak do obrony pracy, musiałem pokonać wiele trudności i przejść szereg przygód, spośród których kilka zasługuje na szczególną uwagę.

Moja praca doktorska dotyczyła zagadnień analityki śladowych ilości związków siarkoorganicznych w paliwach gazowych oznaczanych metodami chromatografii gazowej. Dla interpretacji chromatogramów oraz wykreślenia krzywych wzorcowych potrzebowałem odpowiednich wzorców lub ich standardowych mieszanek. Dzięki dobrym kontaktom oraz współpracy z wieloma laboratoriami w kraju dość szybko znalazłem źródło i obietnicę ich otrzymania. Udałem się na Politechnikę Gdańską do doc. Rafała Staszewskiego, by zapoznać się z tematyką prowadzonych przez niego prac oraz pozyskać cenne dla mnie próbki związków siarkoorganicznych (niskocząsteczkowe merkaptany oraz siarczki organiczne). Swoją wizytę na politechnice zaplanowałem wcześniej na trzy dni i tak też wykupiłem powrotny bilet lotniczy. Mieszkalem w Sopocie, dojeżdżając do Wrzeszcza kolejką podmiejską. W planowanym dniu powrotu udałem się rano na

politechnikę, aby zapakować otrzymane „skarby” i zabrać je do Krakowa. Pomagali mi w tym współpracownicy doc. Staszewskiego. Zgodnie z jego sugestią wszystkie wzorce zatapiał w ampułkach szklanych. Następnie owinięliśmy je w ligninę i zamknęli w termosie. Korek termosu dodatkowo zalany został woskiem oraz zakręcony przykrywą. Pamiętając, że mam odlot samolotu o czternastej, spieszyłem się bardzo. Musiałem wrócić do hotelu w Sopocie po walizkę z rzeczami osobistymi. Wychodząc z politechniki, byłem bardzo zaniepokojony, gdyż termos intensywnie cuchnął merkaptanami. Był upalny dzień, koniec czerwca, samo południe. Podejrzewałem, że jakaś kropla spadła na ligninę uszczelniającą próbki. Do Sopotu wiozłem termos, trzymając go za uchylonym oknem. Wydawało się, że pęd powietrza usunie resztki merkaptanów. W hotelu stwierdziłem, że rozumowanie to było błędne. Próbowałem ponownie przepakować ampułki. Usunąwszy całą ligninę, wymieniłem ją na watę i ponownie włożyłem do termosu. Opuszczając hotel, nie stwierdziłem żadnej poprawy. Wsiadając do taksówki, poinformowałem kierowcę, że w walizce mam materiał o nieprzyjemnej woni. Włożył ją do bagażnika. W połowie drogi do lotniska taksówkarz stwierdził „Gdyby pan mnie wcześniej nie poinformował, że przewożę smrody, to wysadziłbym pana”. Dojechawszy do lotniska opuściłem taksówkę stwierdzając, że muszę coś zrobić z moim bagażem. Pozostanie dłużej w Gdańsku nie wchodziło w rachubę. Do odlotu samolotu miałem jeszcze około 30 minut. Szybko podjąłem decyzję. Wyjąłem termos z walizeczki i wpakowałem go do najbliższego kosza. Udałem się do odprawy biletowej. Oddawszy walizeczkę na bagaż wszedłem na pokład samolotu. Zająłem miejsce i zabrałem się do czytania gazety. Samolot pełny pasażerów długo stał w porcie. Nie kołował na pas startowy. Wydawało mi się to dziwne, gdyż na pasie nie było żadnego ruchu, a my cały czas czekaliśmy na coś, stojąc w miejscu. Tak minęło ponad pół godziny. Następnie jeszcze 15 minut, gdy w drzwiach od strony kabiny pilotów pojawił się steward, trzymając w ręce wysoko uniesioną moją walizeczkę: „Czyj to bagaż?” – zapytał. Zrozumiałem wówczas przyczynę naszego postoju. Zgłosiłem, że to mój bagaż. Oświadczyłem, że „pachnie nieco, gdyż wcześniej były w nim chemikalia”. Otwarłem zamek i pokazałem zawartość – tylko przybory toaletowe, koszule, pidżama oraz pantofle. „Dlaczego pan tego nie zgłosił wcześniej? Dwukrotnie wyładowywaliśmy cały bagaż z samolotu, aby znaleźć, co tak śmierdzi” – powiedział steward. Starłem się zachować powagę i zagryzłem wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem. W końcu jakoś to się skończyło. Wystartowaliśmy. Wszyscy pasażerowie znali sprawcę opóźnienia samolotu. Finał całej sprawy miał miejsce dopiero podczas jazdy autobusem z lotniska w Balicach do Krakowa. Wsiadłem z moją walizeczką do autobusu LOT-u. W połowie drogi do miasta większość pasażerów była zgodna co do tego, że należy mnie wysadzić. Udało mi się jednak dojechać pod hotel Cracowia, gdzie presja pasażerów była tak duża, że musiałem wysiąść. W domu zarówno walizeczka, jak i jej zawartość, wietrzyły się na balkonie przez około dwa tygodnie. Przyczyną całości sprawy było prawdopodobnie złe zatopienie ampułek. Do dzisiejszego dnia nie dowiedziałem się, co dalej stało się z pozostawionymi w koszu przy lotnisku „skarbami” przeznaczonymi do realizacji mojej pracy doktorskiej. Opisana wyżej przygoda z merkaptanami i lotnymi siarczkami organicznymi nie była ostatnią, w której miałem przyjemność uczestniczyć. Zupełnie przypadkiem i w innych okolicznościach zetknąłem się z tymi związkami znacznie później, gdy mój kontakt z chemią był na zupełnie innej płaszczyźnie. Było to podczas mojego pobytu w Wielkiej Brytanii. Szczegóły nieco dalej, aby zachować chronologię wydarzeń.

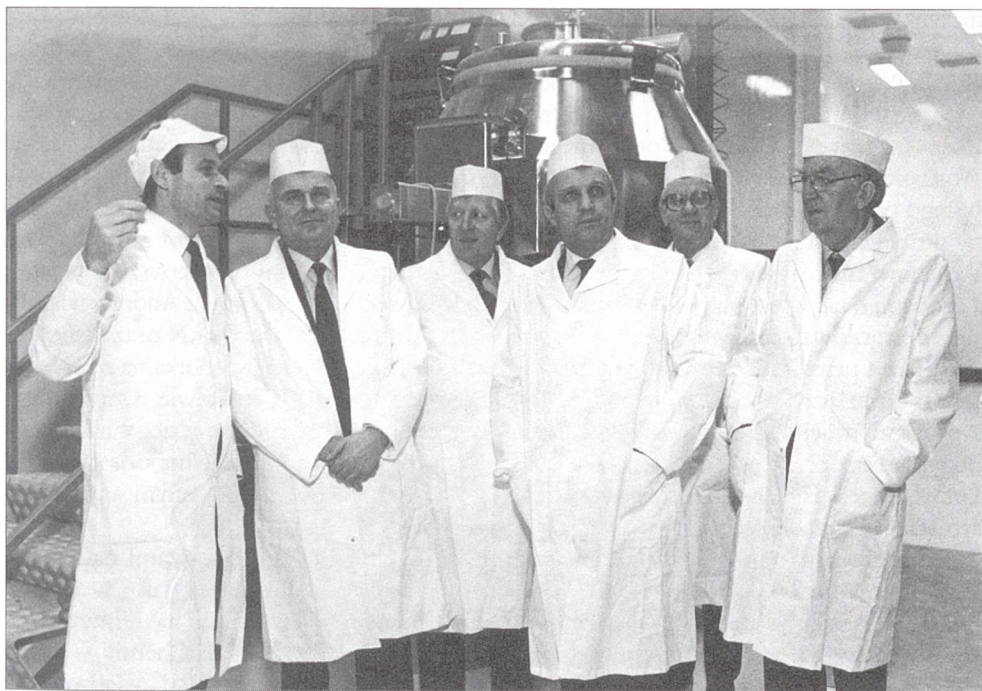
Kiedy Centralne Laboratorium Gazownictwa urosło do rangi Instytutu, a jego kierownictwo przeniesiono z Warszawy do Krakowa, otrzymałem propozycję, aby przejść tam do pracy na pełny etat. Wyraziłem zgodę. Tu od podstaw budowałem Zakład Fizykochemii i Analityki Paliw Gazowych, zatrudniając w nim m.in. kilku absolwentów chemii UJ. Niektórzy z nich rozpoczynali kontakt z Instytutem Gazownictwa jeszcze jako moi magistranci, którzy po zakończeniu studiów pozostawali w nim nadal. Instytut wtedy nadzorował budowę, uruchomienie i odbiór techniczny instalacji odazotowania gazu ziemnego i odzysku helu. Nowoczesna zachodnia technologia wykorzystująca urządzenia podlegające embargu, otwierająca w Polsce drzwi do kriogeniki przemysłowej, dawała młodemu zespołowi możliwość spełnienia się, wiązania nauki z przemysłem, sprawdzenia wiedzy teoretycznej w praktyce przemysłowej. Uwieńczeniem całości wyników było przekazanie do ruchu tej nowoczesnej instalacji oraz wiążąca się z tym Nagroda Państwowa dla całego zespołu. Żałuję, że nie udało mi się włączyć w cykl tych prac kolegów z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zespół Kriogeniczny UJ nie był przygotowany do podejmowania prac technologicznych w skali przemysłowej. Współpraca Instytutu Gazownictwa ograniczała się wówczas do Politechniki Warszawskiej i Politechniki Gliwickiej. Ponadto utrzymaliśmy dobrą współpracę z Instytutem Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN we Wrocławiu kierowanym przez prof. Włodzimierza Trzebiatowskiego. Zakład, którym wówczas kierowałem, szybko rozwinął się i rozrósł do ponad czterdziestu osób. Został wyposażony w nowoczesną aparaturę badawczą, zyskując tym samym znaczącą pozycję w środowisku naukowym Krakowa.

Od tego okresu zacząłem tracić bezpośredni kontakt z chemią, a dokładniej z badaniami i analizą instrumentalną. Kierowanie zakładem, programowanie badań, wyszukiwanie punktów krytycznych linii technologicznych czy programów oraz systemowe zabezpieczenie niezawodności układów technologii przemysłowych, absorbowały mój czas wystarczająco, by nie zostawało go na prace i badania laboratoryjne. Wtedy to przyjąłem zasadę, również jako moje własne hasło – „Nie ma nowoczesnych technologii bez nowoczesnych metod analitycznych” – otwierające jedno z kolejnych sympozjów organizowanych przez Komisję Analizy Karbo- i Petrochemicznej PAN, której byłem wieloletnim członkiem. Poznane i opanowane metody analizy instrumentalnej były mi wielokrotnie sterem przy rozważaniu i podejmowaniu decyzji w zakresie technologii przemysłowych przeróbki ropy naftowej, gazownictwa czy przetwórstwa węgla. Z początkiem lat 70. XX wieku Instytut Gazownictwa podjął szeroki zakres prac badawczych w ramach Programu Rządowego nr 1 „Kompleksowe Przetwórstwo Węgla”, przyjmując koordynację problemu nr 1 – „Zgazowanie Węgla”. Ranga tego programu dała instytutowi duże możliwości rozwoju. Zyskało na tym również moje laboratorium, otrzymując środki finansowe na dodatkowe zakupy aparatury analitycznej i instrumentów badawczych. Odwiedzając wówczas kolegów na uniwersytecie w laboratoriach Collegium Chemicum, dostrzegałem ogromny dystans, jaki dzielił wyposażenie aparaturowe uczelni od tego, czym dysponowałem w instytucie. Odnosiło się to również do laboratoriów w Instytucie Technologii Nafty. Zarówno ilość, jak i różnorodność oraz klasa aparatury w instytutach resortowych kilkakrotnie przewyższały poziom laboratoriów uczelnianych. Już wówczas widoczne było niedoinwestowanie uczelni. Mimo to aura, jaka otaczała Alma Mater, sprowadzająca się nieomal do czolobitności wobec pozycji UJ na mapie polskiej nauki, która ukształtowała się w naszych umysłach w latach studiów, stawiała uniwersytet na piedestale. Z tego też powodu kilka lat później, kiedy zostałem wicedyrektorem Instytutu Górnictwa Naftowego i Gazownictwa oraz człon-

kiem Rady Naukowej PR – 1, postanowiłem nawiązać bliższą współpracę z chemią UJ. Dysponując znacznymi środkami finansowymi przeznaczonymi na konkretne badania, chciałem część z nich ulokować właśnie w Uniwersytecie Jagiellońskim. Wcześniej już część prac z tego programu zlecono krakowskim Biurom Projektów oraz AGH i politechnice. Zwróciłem się w tej sprawie do ówczesnego prorektora uniwersytetu – chemika prof. Alojzego Gołębiewskiego. Znałem go wcześniej jeszcze jako doktora, prowadzącego z nami na III roku ćwiczenia z chemii teoretycznej. Wspominam go jak najlepiej, zarówno z czasów jego asystentury, jak i pozycji prorektora UJ. Sugerowałem, aby oprócz włączenia się Uniwersytetu Jagiellońskiego w tematykę PR – 1 utworzyć na chemii uniwersyteckiej zespół do spraw chemii węglowodorów, uwzględniając potrzeby przemysłu i lokalnych ośrodków naukowo-badawczych. Badania podstawowe i teoretyczne tych zagadnień na uniwersytecie byłyby uzupełnieniem i poszerzeniem tego, co robiły katedry czy instytuty AGH i politechniki. Prof. Gołębiewski przyjął moje propozycje z dużym zainteresowaniem i, jak twierdził, z wdzięcznością. Odkrył równocześnie wszystkie karty, stwierdzając, że trudno będzie znaleźć chętnych do podjęcia tej tematyki, chociaż mogłoby to być bardzo intratne. Początkowo było to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Rektor wytłumaczył mi jednak, że prawie wszyscy samodzielni pracownicy nauki wrosli w swoją tematykę i przedstawienie się któregośkolwiek z nich na inną płaszczyznę badań jest praktycznie nierealne. Sprowadzenie kogoś z zewnątrz napotyka sprzeciwu innej natury, jak pomieszczenia, ludzie itp. Na zakończenie rektor zadeklarował, że widząc celowość stworzenia takiego zespołu, będzie rozmawiał na ten temat z kolegami. Był jednak pesymistą odnośnie do spodziewanych wyników rozmów. Stwierdził, że gdy znajdzie chętnych, natychmiast skontaktuje się ze mną. Nie doszło jednak do tego rodzaju spotkań. Konserwatyzm myślenia, a szczególnie działania naukowców uniwersytetu miały swoje tradycje, jak przystało na ponad sześćsetletnią uczelnię. W tej sytuacji tradycji nie należało łamać. I wówczas nie została ona złamana. Racja natomiast wygląda jak kostka do gry. O ileż jest ona ciekawsza od medalu, który ma tylko dwie strony. Warto dostrzegać i pamiętać, że wartość każdej płaszczyzny kostki do gry jest inna.

Przez kilka lat wgłębiałem się w problematykę przetwórstwa węgla, szczególnie jego zgazowania i upłynniania. Szereg publikacji oraz większość opracowań uzupełniły mój dorobek naukowy. Obejmował on ponad 50 pozycji, w tym kilkanaście zamieszczonych w renomowanych czasopismach zagranicznych. Kierowanie programem badań przygotowawczych do oceny przydatności węgla z Zagłębia Jaworznicko-Mikołowskiego dla jego zgazowania technologią Koppersa-Totzeke, przygotowanie i przeprowadzenie kompleksowej kontroli próby przemysłowego zgazowania tego węgla na instalacji przemysłowej w Turcji, jak również wielowariantowa ocena wyników tej próby dały mi obszerny materiał do zaprezentowania go w pracy habilitacyjnej. Wstępnie zakres tej pracy został zaaprobowany i wysoko oceniony przez profesorów: Franciszka Byrtusa i Aleksandra Długosza z AGH, Stefana Jasiénko z Politechniki Wrocławskiej i Jerzego Węgla z Politechniki Krakowskiej. Przygotowania do złożenia pracy habilitacyjnej miałem daleko zaawansowane. Planowałem, że wyłączenie się z innych zajęć w instytucie na około trzy miesiące pozwoli mi na oddanie pracy.

Wtedy to otrzymałem propozycję wyjazdu do Wielkiej Brytanii. Prestiżowe stanowisko dyplomatyczne w zakresie koordynowania współpracy naukowo-technicznej pomiędzy Polską a Wielką Brytanią pociągało mocno. Co zrobić? Zakończyć pracę habilitacyjną czy podjąć starania o wyjazd? Taka propozycja drugi raz może się nie powtórzyć.



Fot. 1. Wizyta przedstawicieli Ambasady PRL w Zakładach Chemiczno-Farmaceutycznych May and Backer pod Londynem (1985 r.). Od lewej: pracownik zakładu, ambasador – S. Staniszewski, radca handlowy – Zdzisław Osiadacz, radca ds. nauki i techniki – Jan S. Gawlik, dyrektor naukowy May and Backer – prof. J. McFathean

Wiedziałem, że nie jestem jedynym kandydatem. Chciałem się sprawdzić. Jeżeli mnie nie zaakceptują, to powrócę do pracy naukowej. Gdy wygram – czekają mnie nowe przeżycia, nowe obowiązki, nowi znajomi w zakresie kontaktów z nauką przez duże N oraz jej relacjami z przemysłem i nowymi technologiami. W końcu zdecydowałem. Przygotowania do wyjazdu wiązały się z intensywnym szkoleniem z zasad dyplomacji, organizacji i kierunków zainteresowań krajowych ośrodków naukowych (PAN, instytuty resortowe, wyższe uczelnie), dotychczasowych kontaktów i współpracy pomiędzy krajowymi ośrodkami nauki i ich brytyjskimi partnerami. Nastąpiło czasowe oddelegowanie mnie z instytutu do pracy w MSZ i wyjazd do Londynu. Wydawać by się mogło, że tam to tylko honory, przyjęcia i dyplomatyczne mydlenie oczu. W rzeczywistości była to ciężka praca, często połączona z licznymi niespodziankami, kłopotami, ale również miłymi zdarzeniami, które na trwałe pozostały w pamięci. Kontrakt przewidziany był na trzy–cztery lata. Wypełniłem go w całości, wracając do kraju po upływie czterech i pół roku. Wiele można wspominać z tego okresu, nawet gdyby ograniczyć się tylko do problemów chemii. Może to przy innej okazji. Nie mogę jednak pominąć tych wydarzeń, które wiązały się z moim uniwersytetem, jego pracownikami lub studentami, jak również tych, które ubarwiały obraz mojego pobytu w Wielkiej Brytanii.

Zaadaptowałem się stosunkowo szybko. Pierwsze dwa tygodnie były tak wypełnione spotkaniami, że wracałem po pracy z głową napompowaną jak balon, w którym szumiało

niczym w ulu. Do dziś pamiętam swą pierwszą wizytę w Royal Society, Royal Academy, British Council, British Library, Cabinet Office przy Downing Street, British Gas, British Coal, British Petroleum, brytyjskim przedstawicielstwie Shella, jak również w kilku uniwersytetach – Oxford, Cambridge, London oraz szeregu innych instytucji, czy organizacji naukowych. Zostałem tam przedstawiony przez mego poprzednika radcę Ambasady – pana Stanisława Wojtaszka, również chemika, lecz po UW. W tym właśnie okresie miałem przyjemność osobistego poznania dwóch laureatów Nagrody Nobla. Byli nimi Sir Andrew Huxley, ówczesny prezydent Royal Society oraz prof. J.R. Wane, będący wówczas jednym z dyrektorów Wellcome Trust i późniejszy wiceprezydent Royal Society. Były to moje pierwsze spotkania z osobami o tak wysokiej pozycji naukowej. Późniejsze spotkania z Lordem Andrew wiązały się z przygotowaniem jego wizyty w Warszawie na zaproszenie Prezesa PAN oraz planowanych wizyt przedstawicieli kierownictwa PAN w Londynie. Natomiast spotkania z profesorem J. Wane łączyły się z jego współpracą z Akademią Medyczną w Krakowie, a szczególnie z ówczesnym jej rektorem prof. Ryszardem Gryglewskim. Byłem dumny, że w rok przed otrzymaniem przez prof. Wane Nagrody Nobla, otrzymał on doktorat honoris causa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Było to wydarzenie bez precedensu, z ogromnym wyczuciem sytuacji, jakie rzadko zdarza się nawet wśród najlepszych.

Z miesiąca na miesiąc rozwijałem kontakty z uczelniami, towarzystwami naukowo-technicznymi oraz innymi organizacjami nauki zarówno w Londynie, jak i w innych miastach Anglii, Walii i Szkocji. Pewnego dnia udałem się z wizytą na Uniwersytet w Warwick. Zostałem tam zaproszony przez dziekana Wydziału Chemii – prof. T. Kempa. Utrzymywał on dobrą współpracę naukową z Instytutem Badań Jądrowych w Świerku pod Warszawą. Moja dotychczasowa znajomość z prof. Kempem ograniczała się do rozmów telefonicznych. W ostatniej z nich przed spotkaniem uzgodniliśmy, że przyjadę pociągiem. Profesor będzie mnie oczekiwał na dworcu. Aby uniknąć kłopotów z wzajemnym rozpoznaniem się, uzgodniliśmy dokładnie miejsce spotkania na peronie oraz charakterystyczne cechy naszego ubrania. Po wyjściu z wagonu zacząłem intensywnie wypatrywać oczekującego mnie profesora. W umówionym miejscu dostrzegłem dwie osoby, jak gdyby również wypatrujące kogoś. Był to wysoki mężczyzna w grubych okularach oraz towarzysząca mu kobieta. Jego wygląd pasował do przekazanej mi telefonicznie charakterystyki. Kobieta zaś przypominała mi kogoś znajomego, lecz nie mogłem skojarzyć kogo. Ruszyłem w ich kierunku. Gdy dzieliło nas zaledwie kilka metrów, towarzysząca profesorowi kobieta przyjacielsko pokiwała mi ręką na powitanie. Kto to jest? Musi to być ktoś znajomy – myślałem. Podszedłem bliżej. Dopiero w czasie przywitania poznałem, znaną mi jeszcze z okresu studiów na UJ, asystentkę z chemii nieorganicznej, wówczas już panią docent Alinę Samotusową. Jakież ten świat mały. Znowu Uniwersytet Jagielloński – chemia. Okazało się, że prof. Kemp współpracował w Polsce nie tylko z IBJ, lecz również z naszym uniwersytetem. Stąd też pobyt doc. Samotusowej na Uniwersytecie w Warwick. Podobnie jak wiele innych kontaktów brytyjskich ośrodków naukowych z partnerami w Polsce, wspierałem również te z Uniwersytetu w Warwick. Pomoc moja obejmowała także pośredniczenie w przesyłaniu do Polski publikacji, czasopism, odczynników chemicznych oraz części do urządzeń i aparatury badawczej. W miarę możliwości wykorzystywałem do tego celu nawet samochód przewożący pocztę dyplomatyczną. Pomoc ta bywała znacząca wobec braku dewiz w krajowych ośrodkach badawczych oraz licznych trudności związanych z szybkim sprowadzaniem do Polski niezbędnych materiałów. Któregoś dnia Terry (prof. Kemp) zatelefonował do mnie z prośbą o pomoc w przesłaniu dla pani doc. Hanny Ambroź z IBJ



Fot. 2. Przedstawiciele Ambasady PRL w Londynie przed wizytą w Buckingham Palace (1987 r.)

próbek wzorcowych związków chemicznych. Jak zwykle wyraziłem gotowość pomocy. Za kilka dni Terry przesłał mi dwie małe puszkę metalowe, w których znajdowała się zapowiedziana przesyłka. Odebrawszy ją tuż przed zakończeniem pracy, pozostawiłem w pokoju. Na drugi dzień rano po przyjsciu do biura stwierdziłem, że panuje tam trudny do zniesienia odór. Jedna z puszek wydzielala charakterystyczny zapach merkaptanów. Znałem go dobrze zarówno z mojej pracy doktorskiej, jak i z przygody sprzed lat, która spotkala mnie na lotnisku w Gdańsku. Wysłałem do Warszawy tylko jedno opakowanie. Poinformowałem o tym Terrego, który zadeklarował, że w najbliższym czasie zabierze drugą puszkę i ją przepakuje. Był mocno zaskoczony wydzielaniem się merkaptanów na zewnątrz puszek. Jak twierdził, zostały one dobrze zatopione w szklanych ampułkach, które z kolei zawinięte w watę zostały jeszcze umieszczone w metalowej puszcze szczelnie zalutowanej na całej krawędzi pokrywy. Długo myślałem, gdzie umieścić puszkę, nim Terry ją zabierze. Żadne pomieszczenie nie nadawało się do tego celu. Mogłem ją tylko gdzieś wyrzucić. W końcu umieściłem ją w rogu na zewnętrznym parapecie okna mojego biura. Było to nadspodziewanie korzystne miejsce. Wiejący tam niemal codziennie wiatr rozwiewał śladowe ilości wydzielających się merkaptanów, czyniąc je niewykrywalne. Po kilku tygodniach nawet zapomniałem o ich istnieniu, a Terry nie zgłaszał się, aby je zabrać. W końcu wyjechałem do kraju na urlop. Wróciłem z początkiem sierpnia. Po kilku dniach jeden z pracowników administracyjnych ambasady opowiedział mi, jaka afera wydarzyła się podczas mojej nieobecności, tuż przed naszym świętem narodowym, tj. przed 22 lipca. „Ktoś podrzucił w rejon ambasady jakąś bombę smrodów”. Zarówno nasze służby ochrony, jak i brytyjskie służby nie mogły wykryć, gdzie ją podłożono. Było to szczególnie drażliwe gdyż, jak co roku w dniu święta narodowego do ambasady miało

zawitać wielu dostojnych gości. Poszukiwania trwały kilka godzin. Czy ją znalezione, czy wyparowała, nikt nie wiedział. W tym miejscu opowiadania przeprosiłem rozmówcę i biegiem ruszyłem do mojego biura na III piętrze. Otworłem okno. Na parapecie było pusto. Zrozumiałem wówczas przyczynę całego wydarzenia. Wiatr, gołąb lub jakiś inny ptak strącił puszkę z parapetu okna. Wpadła gdzieś w zakamarki zamkniętego terenu pomiędzy ulicą a budynkiem ambasady. Przekonany jestem, że brytyjskie służby znalazły puszkę i szybko rozwiązały zagadkę. Adres pani doc. Hanny Ambroź z Instytutu Badań Jądrowych był umieszczony na naklejce puszki, a wcześniejsze moje rozmowy telefoniczne z prof. Kempem mogły dać dodatkowe wyjaśnienia całości sprawy. Wydarzenie to wkrótce poszło w niepamięć.

Z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc nabierałem praktyki, znajomości zasad dyplomacji, bagażu różnorodnych kontaktów. Po kilkumiesięcznym pobycie w Londynie otrzymałem wspaniałe zaproszenie do Ambasady RPA na wykład połączony z pokazem filmu na temat stosowanych tam technologii zgazowania i upłynniania węgla. Jakże frapujący temat szczególnie w kontekście moich zainteresowań i pracy w IGNiG. Szybko przygotowałem odpowiedź potwierdzającą przyjęcie zaproszenia. Oddałem ją do sekretariatu z prośbą o nadanie pocztą. Na drugi dzień Radca Ambasady ds. politycznych poprosił mnie na rozmowę. Na wstępie zapytał, kiedy jadę do kraju. Zdziwiony tym pytaniem odpowiedziałem, że nie planuję, ale gdyby była okazja na kilka dni, to chętnie bym pojechał. Radca stwierdził, że nie o to chodzi, lecz odniósł wrażenie, że robię starania o powrót do kraju. To jeszcze bardziej mnie zaskoczyło. Wtedy wręczył mi przygotowany dzień wcześniej mój list do Ambasady RPA. „Czy wiesz, że nie mamy stosunków dyplomatycznych z RPA, a ty nie jesteś dyrektorem instytutu, lecz dyplomatą” – zapytał retorycznie. „Jeżeli na tym spotkaniu zrobisz ci zdjęcie i w którejś z gazet jakiś dziennikarzyna napisze o pierwszych zwiastunach nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a RPA, to zostanie ci 24 godziny na spakowanie rzeczy i powrót do kraju. Może również nic z tego nie wyniknąć, ale tak robić nie wolno”. Dopiero wówczas zrozumiałem cały sens rozmowy i rację radcy. Doceniłem to, że przez początkowy okres pracy w ambasadzie moja zewnętrzna korespondencja poddawana była kontroli. Wychodząc z gabinetu radcy, wiedziałem, że nie wybieram się do kraju, jak również, że nie pójdę na planowane spotkanie w Ambasadzie RPA.

Spośród wielu wyjazdów na brytyjskie uniwersytety szczególnie miło wspominam wizyty w Szkocji na obu uniwersytetach w Glasgow, uniwersytetach w Edynburgu, Aberdeen, Straclyde oraz St. Andrews. Dobre kontakty i współpraca tych uczelni z polskimi partnerami dawały mi dużą satysfakcję, szczególnie wówczas, gdy wiązało się to z Uniwersytetem Jagiellońskim. Tak było właśnie na Uniwersytecie w St. Andrews, gdzie oczekiwano wizyty prorektora UJ – prof. Alojzego Gołębiewskiego. Została ona początkowo przesunięta na termin późniejszy, po czym z uwagi na stan zdrowia profesora nie została zrealizowana. W Szkocji rozumiałem, dlaczego Polacy tak chętnie osiedlali się tam po wojnie. Mentalność i styl życia Szkotów są bliskie Polakom, a szczególnie ludziom z Krakowa. Liczne opowiadania o skąpstwie Szkotów i innych wadach ich charakteru pochodzą od Anglików, którzy w ramach kompleksu starali się wykazać swoją wyższość wobec bardziej błyskotliwych i sprytniejszych sąsiadów. Jeden z nich w chwili szczerości po wypiciu kilku szklanek whisky zdradził mi tajemnicę, kto to jest Szkot i jakie ma związki z Krakowem. „Najkrócej można określić, że Szkot to z pochodzenia krakus, którego wygnano z Wawelskiego Grodu za rozrzutność”. Szkoci mieli również ostre języki i nie lubili być dłużni. Wszystko to odbywało się na wysokim poziomie żonglerki słownej połączonej z dobrym brytyjskim dowcipem.

Podczas każdej z wyżej wymienionych wizyt spotykałem Polaków, czasem również z Krakowa, a nawet z naszego uniwersytetu. Będąc z wizytą na jednym z najstarszych angielskich uniwersytetów w Durham na zaproszenie prof. Wulfonyle – odpowiadającego z ramienia Royal Society za współpracę z Polską – spotkałem po ponaddwudziestoletnim rozstaniu bliską koleżankę z chemii naszego uniwersytetu – Martę Łuklińską. Studiowała dwa lata wyżej niż ja. W Krakowie spotykaliśmy się w ramach działalności Koła Chemików, jak również prywatnie na imieninach u Urszuli Nowosielskiej oraz na tzw. prywatkach. W Durham University Marta pracowała jako biochemik na Wydziale Biologii z wysoko ocenianą pozycją naukowca. Żałuję, że rozmawialiśmy tak krótko. Cóż, służba nie drużba. Z braku czasu nie mogłem nawet skorzystać z zaproszenia do złożenia wizyty w jej domu – kilka mil obok Durham. Oficjalny program mojej wizyty był tak bogaty, że przez dwa i pół dnia udało nam się porozmawiać zaledwie dwukrotnie i to nie dłużej niż przez trzydzieści minut. Temat wiadomy – wspomnienia z lat studenckich, znajomi i Koło Chemików.

Moje wizyty na brytyjskich uniwersytetach miały różny charakter. Od roboczych wizyt wspierających istniejące już kontakty po aranżowanie nowych; przygotowywanie i podpisywanie umów o dwustronnej współpracy (np. między Birmingham University i Politechniką Krakowską). Były też oficjalne wizyty o charakterze kurtuazyjnym, taką np. złożyłem na Uniwersytecie w Leeds. Wizyta ta miała specjalny charakter i z tego względu poświęć jej więcej uwagi. Jeszcze nie minął rok mojego pobytu w Londynie, gdy otrzymałem od *vice-chancellor*a (urzędującego rektora) uniwersytetu w Leeds zaproszenie na „Dni Otwarte” tej uczelni. W programie wizyty, prócz zwiedzania uniwersytetu, głównym punktem było uczestnictwo w ceremonii nadania kilku doktoratów honoris causa wybitnym osobistościom z całego świata. Wśród dekorowanych była również, znana ze swej charytatywnej działalności na rzecz ludzi poszkodowanych przez II wojnę światową w Polsce i w Europie – Lady Margaret Susan Cheshire, znana jako Sue Ryder of Warsaw. Niska, szczupła, filigranowa pani, o wspaniałym sercu, której inicjatywa oraz przekazane przez nią dotacje pozwoliły na wybudowanie w Polsce ponad dwudziestu ośrodków pomocy osobom niepełnosprawnym. W ceremonii i wydanym z tej okazji obiedzie uczestniczyła księżna Kentu, sprawująca honorową funkcję rektora tego uniwersytetu (*chancellor*). Jako żona brata księcia Filipa (męża królowej Elżbiety) jest członkiem rodziny królewskiej. Wieloletnią tradycją brytyjskich uniwersytetów jest to, że funkcję honorowego rektora sprawują członkowie rodziny królewskiej, lordowie posiadający związek z nauką lub zasłużeni luminarze nauki.

Ceremonia nadania doktoratów honoris causa tak dużej liczbie osób zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Czułem się zaszczycony tym, że mogłem w niej uczestniczyć. Przypuszczam, że moje zaproszenie na tę uroczystość było związane z Lady Sue Ryder, która była jedną z osób wyróżnionych doktoratem honoris causa. Organizatorzy znali Jej związki z Polską oraz moje osobiste kontakty z nią, a także pomoc, jaką udzielałem Jej w realizacji charytatywnej działalności w Polsce. Wieczorem byłem zaproszony na uroczysty obiad wydany przez *vice-chancellor*a Uniwersytetu w Leeds. Uczestniczyło w nim około 300 osób, łącznie z nowo mianowanymi doktorami honoris causa, ich laudatorami, władzami uczelni i zaproszonymi gośćmi. Szczególnym gościem była księżna Kentu. Podczas oczekiwania na jej przybycie w ogromnym holu uniwersytetu rozmawiałem z wieloma osobami, w tym także z chemikiem – profesorem z Uniwersytetu Cambridge. Był on laudatorem doktoratu honoris causa profesora z uniwersytetu w Delhi. Prowadziliśmy dyskusję, m.in. na temat dyplomatów, do których profesor, delikatnie mówiąc, podchodził z rezerwą. Dotyczyło to zarówno dyplomatów brytyjskich, jak i innych, w tym polskich. Po chwili podszedł do mnie mistrz ceremonii, prosząc, abym zechciał pozostać w miejscu, gdzie obecnie stoję, gdyż w programie

receptyjnym przewidziano, że rektor przedstawi księżnej Kentu kilka osób, w tym także i mnie. W tym czasie poprzedni mój rozmówca stał kilka kroków obok i przysłuchiwał się rozmowie. Serce zabiło mi bardzo mocno. Wiadomość ta zaskoczyła mnie zupełnie, chociaż przyjąłem ją z dużą satysfakcją. Po chwili na salę weszła księżna. Towarzyszył jej urzędujący rektor uniwersytetu. Przechodząc przez salę, podchodzili do wyznaczonych wcześniej osób, których rektor prezentował księżnej. Dobrze, że nie byłem pierwszy. Mogłem nieco podpatrzeć zachowanie poprzedników. Niestety nie stali oni zbyt blisko mnie, a tłum zgromadzonych przeszkadzał w dostrzeżeniu szczegółów. Spośród siedmiu osób przedstawionych księżnej byłem trzeci. W ocenie kilku osób, z którymi na ten temat potem rozmawiałem, moja rozmowa z księżną była w stosunku do innych wyjątkowo długa. Księżna Kentu jest katoliczką (wyjątek w rodzinie królewskiej) i rozpoczęła rozmowę na temat Jana Pawła II oraz Jego niedawnej wizyty w Londynie, a szczególnie charyzmy Jego osobowości. Kolejnym tematem były konie, stadnina w Janowie, którą księżna z mężem i księciem Filipem odwiedzała podczas prywatnych wizyt w Polsce. Na koniec zadawała mi pytania o moją profesję, jak długo jestem w Wielkiej Brytanii i co robiłem wcześniej, jak odbieram brytyjską kulturę, naukę i społeczeństwo.

Jeszcze nie w pełni ochłonąłem po rozmowie z księżną, gdy podszedł do mnie mój poprzedni rozmówca z Uniwersytetu w Cambridge i pogratulował mi prezentacji. Równocześnie przeprosił mnie za to, że w poprzedniej dyskusji o dyplomatach mogłem niektóre jego uwagi wziąć do siebie. Na zakończenie serdecznie zapraszał mnie do złożenia mu wizyty na Uniwersytecie w Cambridge. Pomyślałem wówczas, ile może zrobić jedna krótka rozmowa, a nawet tylko jej obraz widziany z boku, gdyż jej treść nie wychodziła przecież poza krąg rozmówców. Wydawać by się mogło, że ludzie z cenzusem naukowym oraz wysoką pozycją uniwersytecką, prezentujący nauki ścisłe, powinni myśleć logicznie i racjonalnie. Przypadkowo odniesione wrażenia nie powinny radykalnie zmieniać ich poglądów. A jednak... Tylko wydawać by się mogło...

Opisane wyżej spotkanie z księżną Kentu było pierwszym moim bezpośrednim kontaktem z członkami rodziny królewskiej. Odbył się ono na płaszczyźnie uniwersytetu i nauki. Późniejsze moje spotkania z królową brytyjską oraz najbliższymi członkami jej rodziny miały charakter bardziej oficjalny i ceremonialny. Gościłem wówczas w Buckingham Palace podczas dorocznych spotkań królowej z korpusem dyplomatycznym akredytowanym w Londynie w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Nigdy wcześniej nie przypuszczałem, że kiedyś zatańczę w sali tronowej królowej Wielkiej Brytanii. Mimo że spotkanie z królową i najbliższymi członkami jej rodziny ograniczało się do przedstawienia jej przez ambasadora nowych członków kierownictwa placówki, w tym mojej osoby, po którym następowała wymiana kilku grzecznościowych zdań, to jednak osoba taka jak ja, wychowana w dzieciństwie na micie królów i królowych w baśniach i bajkach, odbierała wydarzenie jako wyjątkowy splendor i przyjmowała je z dużą satysfakcją. Podczas pobytu w Londynie dwukrotnie uczestniczyłem w tego rodzaju przyjęciach w pałacu królowej oraz trzykrotnie w Garden Party, jakie odbywały się latem w ogrodach pałacowych. Odmienny charakter miało moje ostatnie spotkanie z królową podczas składania listów uwierzytelniających przez nowego ambasadora prof. Zbigniewa Gertycha. Wydarzenie to pozostało głęboko w mojej pamięci, jak dobry film, w którym grałem jedną z liczących się ról. Po oficjalnym uzgodnieniu szczegółów procedury ceremonii i jej programu w określonym terminie, z dokładnością do pół minuty zajęchały przed ambasadę trzy królewskie karety. Zajęliśmy miejsca zgodnie z obowiązującym protokołem: w pierwszej ambasador, w drugiej radca ds. politycznych, szef Biura Radcy Handlowego oraz dyrektor Instytutu Kultury Polskiej, w trzeciej radca ds. morskich,

attache wojskowy oraz ja – radca ds. nauki i techniki. Wyjechaliśmy spod ambasady dokładnie według zaplanowanego czasu. Mimo że odległość do Buckingham Palace była znaczna – około 4 km, a ruch w Centrum Londynu jak zwykle ogromny, to jednak przekraczaliśmy bramy pałacu zgodnie z przygotowanym wcześniej rozkładem czasu. Przejazd przez Londyn otwartą karetą królewską pod ostrzałem aparatów fotograficznych i spojrzeń turystów oraz innych widzów w pogodny czerwcowy dzień stwarzał bajkową aurę, niczym kręcenia sceny filmowej. To samo dotyczyło całej ceremonii w sali audiencyjnej podczas prezentowania przez ambasadora, siedzącej na tronie *Her Majesty* – Królowej Wielkiej Brytanii, swoich współpracowników. Dalej pozostają tylko wspomnienia. Porównywałem je z innymi, które równie głęboko utkwiły mi w pamięci, jak np. spotkania z prof. Doroty Crowfoot Hodgkin – chemiczką, laureatką Nagrody Nobla, która jako druga kobieta (po Marii Curie-Skłodowskiej) osiągnęła ten szczyt, jak również wiele innych honorów w świecie nauki, a nawet polityki. Muszę stwierdzić, że takich porównań praktycznie nie da się zrobić. Są to zupełnie inne wydarzenia, które prawie na równi z wizytami u królowej Elżbiety głęboko pozostały w mej pamięci. Niedługo potem wróciłem do Polski. Tu otrzymałem propozycję pozostania w Warszawie i podjęcia pracy w KBN lub w MSZ. Wróciłem jednak do IGNiG w Krakowie. Zająłem się tworzeniem Zakładu Ochrony Środowiska, który miał służyć całej branży naftowo-gazowniczej. Przy reorganizacji instytutu, jaka miała wówczas miejsce, nie miałem większych trudności zarówno z doбором osób, jak i sprzętem. Zakład coraz bardziej stawał się potrzebny instytutowi i oddawał znaczące usługi przemysłowi. Wobec dużego regresu gospodarczego, który można było wtedy obserwować w Polsce, czułem się zbyt mało wykorzystany. Wówczas to napotkałem w prasie ogłoszenie o konkursie na stanowisko dyrektora Fundacji dla UJ. Chciałem się sprawdzić w nowej sytuacji społeczno-politycznej. Wygrałem konkurs. Prowadząc od sześciu lat Biuro Fundacji dla UJ, staram się wykorzystać swoje możliwości, wiedzę i doświadczenie, aby pomagać mojej Alma Mater, nie zapominając również o tym, że byłem chemikiem.

Jan Stefan GAWLIK, dr nauk chemicznych; dyrektor Fundacji dla UJ, ur. 26 listopada 1939 r. w Okocimiu; żonaty, 2 córki. Mgr chemii 1965, dr 1981. Asystent w Instytucie Zootechniki w Krakowie (1965–1968). Kierownik pracowni i p.o. kierownika Zakładu w Instytucie Technologii Nafty w Krakowie (1968–1970). Adiunkt, a następnie kierownik zakładu w Centralnym Laboratorium Gazownictwa, przekształconym w 1971 r. w Instytut Gazownictwa (1967–1975). Wicedyrektor Instytutu Górnictwa Naftowego i Gazownictwa w Krakowie (1976–1983). Radca ds. Nauki i Techniki w Ambasadzie Polskiej w Londynie (1983–1987). Pełnomocnik dyrektora IGNiG ds. Ochrony Środowiska, organizator Zakładu Ochrony Środowiska IGNiG (1987–1989). Dyrektor Fundacji dla UJ (1989–1996). Pełnione funkcje: przewodniczący Rady Wydziałowej ZSP, skarbnik, wiceprzewodniczący Rady Uczelnianej ZSP, przewodniczący studenckiego Komitetu Obchodów 600-lecia UJ (1963/64). Członek Komisji Analizy Karbo- i Petrochemicznej Komitetu Chemii Analitycznej PAN (1968–1982), członek Podkomisji Analizy Gazu PAN, członek Komitetu Karbochemii PAN (1978–1980). Członek Komitetu Analizy Gazu Ziarnnego przy ISO (International Standard Organisation) w Paryżu, członek Rady Naukowej Programu Rządowego nr 1 Kompleksowe Przetwórstwo Węgla (1977–1980). Prace naukowe z zakresu biochemii, chemii analitycznej, technologii chemicznej, przetwórstwa ropy naftowej i węgla. Odznaczenia: Złoty Krzyż Zasługi, Zasłużony dla Miasta Krakowa. Członek Koła Chemików Studentów UJ w latach 1960–1964.